



CALEL PERECHODNIK, syn żydowskiego kamienicznika z Otwocka, urodził się w roku 1916. Studia ukończył we Francji. Po powrocie do kraju ożenił się z Anną Nusfeld i założył firmę budowlaną w rodzinnym mieście. Tam też zastała go wojna. Latem 1940 urodziła mu się córka Athalie. W lutym 1941, już w getcie, wstąpił w szeregi policji żydowskiej. Uczestniczył jako policjant w likwidacji dzielniczy zamkniętej w Otwocku. Potem ukrywał się na terenie Warszawy. Tu latem 1943 spisał swoje wspomnienia. Zginął w niejasnych okolicznościach po Powstaniu Warszawskim.

Tekst Perechodnika – unikalne świadectwo Zagłady – jest jednym z niewielu zachowanych, pierwszym publikowanym w całości pamiętnikiem policjanta z getta.

Nieprzytomny, chwytam Aluskę, krew z krwi, kość z kości mojej i odstawiam na bok. Stoi sama, głodna, śpiąca, zdziwiona. Może nie rozumie, dlaczego ojciec, zawsze taki dobry dla niej, zostawia ją w ciemnościach. Stoi i nie płacze, tylko oczy się świecą, te oczy, wielkie oczy.

Jest druga w nocy, więc to już następny dzień: czwartek. Kładę się na tapczan. Boję się położyć do łóżka, bo jest jeszcze ciepłe. Światło zostawiam zapalone. Czy powstaje w mym umyśle jakaś asocjacja, jakieś porównanie między tym pokojem a zamkniętym wagonem towarowym, w którym dwustu ludzi odbywa swą ostatnią podróż? Nie, ja niczego nie porównuję, o niczym nie myślę, po prostu zasypiam.

Seria ŻYDZI POLSCY prezentuje losy Żydów polskich w dwudziestym wieku, ukazwane przede wszystkim za pośrednictwem osobistych dokumentów i relacji świadków wydarzeń. Przygotowywana wspólnie z ŻYDOWSKIM INSTYTUTEM HISTORYCZNYM W POLSCE, w dużym stopniu opiera się na jego archiwaliach.

-44500-

ŻYDZI POLSCY

Calel Perechodnik CZY JA JESTEM MORDERCĄ?



KARTA

akcji getcie. Trwał on przeszło tydzień. Przez te siedem dni żyłem jak w letargu, nie zdając sobie sprawy z nieszcześcia, które mnie spotkało. Jedynym uczuciem, którego doznawałem, był paniczny lęk przed śmiercią. Po tym czasie uprzytomniłem sobie, że już nigdy żony nie zobaczę. Dotarli już do nas bowiem wiadomości, jak się odbywają egzekucje w Treblinkach.

Popadłem w zupełną apatię. Nie pilnowałem mego mieszkania na Podmiejskiej, zostało więc doszczętnie obrabowane. Zamieszkałem w gmachu *Judenratu*, w pokoju, który ustąpił mi inny policjant, adwokat o nazwisku Solowiejczyk. Przestałem myśleć o sposobie ratowania się, widząc, że jest to rzecz niemożliwa.

Łódź przeznaczona kołysała mnie na wzburzonych falach. Dokąd? W jakim kierunku? Nie wiadomo. Nie miałem energii, by ująć ster w moje ręce. Zresztą żaden Żyd nie miał możliwości kierowania własnym losem. Warunki prądu i silny wiatr pchały wszystkich Żydów przeważnie w jednym kierunku: ku Treblince. W najlepszym wypadku czekała nas śmierć z rąk żandarmów.

Całymi dniami leżałem bezmyślnie na łóżku, w nocy zaś chodziłem na służbę do komisariatu.

Postaram się teraz opisać, co się działo w innych gettach.

Akcja w Falenicy¹²⁶ odbyła się w czwartek 20 sierpnia. Dla odmiany Niemcy rozpoczęli ją nie o siódmej rano, ale o trzeciej w nocy, kiedy jeszcze było ciemno. W tym samym dniu odbyła się akcja w Rembertowie, gdzie zebrano ludność żydowską i jak bydyto zapędzono piechotę do Falenicy. Tutaj wszyscy wspólnie zostali załadowani do wagonów. Wiele kobiet, wiele dzieci, wielu słabszych mężczyźni zastrzelono po drodze, dlatego, że nie mogli nadążyć. Wyobrażam sobie często, jak to wyglądało, ale zawsze wtedy myślę, że ci, którzy dostali kulę na miejscu, to byli szczęśliwi Żydzi.¹²⁷

Co robili natomiast Niemcy z policją żydowską? Ano, najzwyczajniej na świecie, po skończonej akcji i po załadowaniu przez policjantów ludności do wagonów, tychże samych policjantów załadowano także. Mieli ten smutny zaszczyt, że Niemcy załadowali ich własnoręcznie.

Przy życiu pozostali tylko ci, którzy przypadkowo pełnili służbę przy

szlabanach — co natomiast stało się z nimi później, nie wiem. Wiem, że nie tylko oni ocaleli. W Falenicy do dziś znajduje się tartak Najwert¹²⁸. Kieruje nim komisaryczny zarząd niemiecki, pracują zaś robotnicy żydowscy z właścicielem na czele. Otóż tych robotników nie wzięto, przeciwnie — jeszcze powiększono ich grupę o Żydów wyselekcjonowanych na *Umschlagplatzu*.¹²⁹

Patrzcie Żydzi, jak Niemcy szanują robotników, fachowców żydowskich! Bądź spokojny Najwertcie, bądźcie spokojni robotnicy tartaczni! Was nie złego nie spotka z rąk niemieckich. Pracujcie i bądźcie pewni swego życia.

W tym samym dniu odbyło się powtórzenie akcji w naszym mieście. Może zresztą część ukrywających się Żydów zgłosiła się sama, dość że z Otwocka wysłano piechotę, pod eskortą polskiej policji, kilkaset osób; doładowano ich do wagonów falenickich. Matki wyjechały transportem otwockim, dzieci nazajutrz transportem falenickim, ojcowie zaś w dwa dni później transportem mińskim. Co za różnica? Wszystkim Żydom wyznaczono wspólne *rendez-vous* nie na tym świecie: *Treblinka dort wo jeder Id hot sajn ort...*¹³⁰ To są słowa najnowszej piosenki żydowskiej.

W piątek 21 sierpnia odbyła się akcja w Mińsku Mazowieckim¹³¹. Tak, w tym Mińsku, gdzie było tyle szopów, gdzie większość Żydów pracowała, gdzie był tak dobry *Kreishauptmann*. Znany był on wśród Żydów w całej Polsce; za głupie kilkaset złotych dawał przepustkę na dwie osoby, upoważniającą do jazdy kolejami po Generalnej Guberni. Dzięki tym przepustkom nie jeden Żyd wywinął się z akcji warszawskiej.

Pamiętam moją rozmowę z Willendorferem, jakieś trzy tygodnie przed akcją mińską.

— Abram — zapytałem — czy w razie akcji są jakieś możliwości ratunku dla zwykłych Żydów?

— Oczywiście Calek — odpowiedział bez wahania — ci, którzy mają pieniądze, powinni zaopatrzyć się w przepustkę w Mińsku. Gdy rozpoznać się akcja w Otwocku, będą mogli opuścić getto i koleją pojechać do Mińska. Sądzę, że tam ludność żydowska będzie bezpieczna, skoro mają tak dobrego *Kreishauptmanna*.¹³²

Jakże naiwnie brzmią dziś w mych uszach wywody Willendorfa! A jednak tak mówiła i myślała większość „mądrych” Żydów. Ci, którzy zaopatrzyli się w przepustki i zdążyli uciec do Mińska, zostali i tak wywiezieni, tyle że parę dni później. Ci natomiast, którzy nie zdążyli

uciec przed dniem akcji w Otwocku, usiłowali ratować się, pokazując Niemcom swe przepustki. Niemcy je honorowali i tych szczęśliwych Żydów, posiadaczy przepustek, nie pognali do wagonów, lecz po prostu na miejscu... rozstrzelali.

W tym samym tygodniu odbyło się jeszcze wiele akcji w różnych miastach Generalnej Guberni, po czym ustały. Mój naiwny czytelnik może się pytać, czy przypadkowo. Otóż nie! U Niemców nie ma przypadków. Przez pierwszy tydzień akcji wieść o tym, że ani *Juden*, ani policja, ani szopy nie są chronione, nie zdążyła dotrzeć do innych miast. Ich ludność spokojnie oczekiwała na akcję, myśląc to, co myśleli mieszkańcy Otwocka przed akcją. W tym tygodniu wiadomości o przebiegu wysiedleń docierały z miasta do miasta razem z Ukrainkami. Rzecz zrozumiała, że było to zbyt późno na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków. Później, kiedy już w całej Generalnej Guberni wiadzano, że całe miasta znikają w Treblince, Niemcy chwilowo zaprzestali prowadzenia akcji. Pozwolili, by nowe pewniki utrwały się w żydowskich mózgach. Takie na przykład, że Częstochowa *kommt nicht in Betracht*, bo tam przecież wszyscy pracują w fabrykach zbrojeniowych. Jednym słowem szczęśliwe miasto! To samo dotyczy Krakowa. Przecież pod okiem gubernatora i przedstawicieli państw zagranicznych nie będą mordować Żydów. O nie! To jest raczej rzecz niemożliwa.

Tak samo bezpieczna jest Kołbiel czy też Sobinie. W tych małych miejscowościach, położonych niedaleko Otwocka, getta nie są nawet ogrodzone. Skoro Żydzi żyją tam razem z Polakami, to gdyby chcieli ich stamtąd wywieźć, musiano by najpierw urządzić getto. Tak, tam można się spokojnie udać. To przekonanie umacnia fakt, że kiedy w otwockim komisariacie zebrali się znaczna liczba aresztantów¹³³, Niemcy nie rozstrzelali ich, lecz posłali samochodami ciężarowymi do Kołbieli. Również z innych jeszcze mniejszych miejscowości kazano Żydom przesiedlić się do Kołbieli, umożliwiono im nawet zabranie całego majątku ruchomego. Szczęśliwa Kołbiel! A Wołomin nie?

Przecież sam *Kreishauptmann* warszawski przyjechał do Otwocka i wręczył lekarzowi, którego po akcji Niemcy umieścili w obozie karczewskim, doktorowi Pomperowi¹³⁴, przepustkę do Wołomina. Powodem rzekomo był brak w tamtejszym getcie chirurga. Gdyby Niemcy chcieli wywieźć Żydów, to przecież *Kreishauptmann* nie dbałby o stan zdrowotny mieszkańców. Nieprawdaż?

O co zaś naprawdę Niemcom chodziło? To proste, o chwilowe uspokojenie gett, które pozostawiono na później także dlatego, by przyciągnęły liczne rzesze Żydów pochowanych w rozmaitych dziurach. Miasta te odegrały zwykłą rolę „lepu na muchy”.

Znałem Żydów, którzy uratowali się z pięciu miast. Udawało im się w porę ukryć lub nawet kilkakrotnie wyskoczyć z wagonu, a jednak ostatecznie musieli trafić do Treblinek. Postępowanie Niemców jasne jest dla mnie teraz, ale wtedy jeszcze rzadko kto rozumiał, rzadko kto uprzedzonym sobie, że bezapelacyjny wyrok zapadł już na wszystkich.

Wielu bogatych Żydów otwockich uratowało się w dniu akcji, chowając się po piwnicach. Przeważnie mieli krewnych czy też synów policjantów, którzy dostarczali im jedzenie przez pierwsze dni. Później jednak wszyscy poczęli zadawać sobie pytanie, co robić dalej. Takie samo pytanie zadawali sobie otwoccy policjanci. Zastanawiali się, czy zostać w getcie i wyjechać później do obozu, czy też lepiej uciekać. A jeśli uciekać, to dokąd i kiedy.

Przez pięć tygodni pobytu w Otwocku nie byliśmy nigdy pewni dnia ani godziny. Każdy oceniał swoje szanse w zależności od stopnia energii, możliwości finansowych, a zwłaszcza od tego, czy uratował własną rodzinę czy też nie. Podkreślałam, że wnioski wyciągano w zależności od energii, a nie zaś inteligencji. Nadszedł bowiem czas, że wszyscy okazali się takimi samymi głupcami.

Ilu było zaś tych uratowanych bliskich? 75 procent żon stracono w pierwszym dniu akcji. Może 10 procent z nich mogło się uratować. Myślę o takich kobietach jak moja żona, o dobrym wyglądzie, elegancji tak w obejściu, jak i w ubraniu, z możliwościami finansowymi i polskimi znajomościami. Tylko takie mogły uchodzić za Polki w polskiej dzielnicy. Inne i tak musiały zginąć.

Większość tych, którzy potracili żony, straciła również energię i chęć do życia. Nie mieli odwagi popełnić samobójstwa, ale żyli siłą rozpędu, nie dbając o nic, biernie poddawali się zrzadzeniom losu. Byli też inni, co prawda nieliczni, którzy dość szybko przeboleli stratę swoich żon. Z niezachwianą wiarą patrzyli w przyszłość, szykowali się do pójścia do obozu, tymczasem zaś „robili” pieniądze, jedli, pili i niczego sobie nie żałowali. Byli to na ogół ludzie z niższych warstw społecznych. Warto wiedzieć, że policja żydowska miała w swoich szeregach taką samą liczbę docentów, lekarzy, inżynierów, co analfabetów.

Trzeba też powiedzieć o tych, których żony się uratowały. Policjanci ze sfery kupieckich ratowali swe żony podczas akcji, dlatego że wiedzieli, iż przy selekcji nikt się z nimi nie będzie liczyć. Jeden z nich, stolarz Kuc, chłopak dość głupawy, zrobił najlepszą sztukę. W dniu akcji pilnował szlabanu przy ulicy Wawerskiej i tam właśnie, najwyczajniej w świecie, umieścił żonę i synka w budce policyjnej. Przechodzili Ukraińcy, przechodzili esesmani i choć widzieli kobietę z dzieckiem, nie kazali jej dołączyć do szeregu. Czy trzeba być w życiu człowiekiem mądrym lub wykształconym; czy lepiej posiadać po prostu łut szczęścia? Policjanci ci przez pierwsze dwa tygodnie wyprzedali swoje rzeczy, wyprzedali też cudze rzeczy, wykopali swoje pieniądze, wykopali też pieniądze zakopane przez innych i pewnego pięknego dnia zniknęli z otwockiego horyzontu. Część uciekła do Kołbieli, a część do Kosowa. Było to miasteczko położone przy Treblinkach, gdzie mieszkała rodzina Ryknera i innych otwockan, pracujących w Treblince I.

Policjanci bogatsi, z lepszych sfer, postanowili uciec z rodzinami do Częstochowy lub Krakowa. Wynajęli od firm niemieckich za kolosalne pieniądze, dosłownie setki tysięcy złotych, samochody ciężarowe, które przewiozły ich do tych miast. Tak uciekł Rynaldo, jeden z najzdolniejszych aferzystów policyjnych w Otwocku, ale też i człowiek, który setki ludzi uratował z akcji warszawskiej. Udało mu się to dlatego, że dysponował przepustką wystawioną przez żandarmerię połową. Korzystając z niej przywoził Żydów z Warszawy pod pretekstem rozmaitych dochodzeń. Tak uratował na przykład córkę Sławina, którą żandarmom przedstawił jako oskarżoną o *Rassenszande*¹³⁵. Rynaldo był to geniusz w swoim rodzaju, oczywiście geniusz czasu wojny.

Tak jak Rynaldo, uciekła rodzina brata Ehrlicha, rodzina Cwernerów, Klajnerów, Holcmanów i Rubinów. Niektórzy mieli, sam to widziałem, przepustki kolejowe do Krakowa, wydane za grube pieniądze przez *Kreishauptmanna* warszawskiego. Przeważnie jednak uciekali samochodami ciężarowymi. Zdarzały się wypadki, że ktoś wieczorem wsiadł do samochodu pełen nadziei na bezpieczne życie w nowym miejscu, a rano — bez pieniędzy, bez rzeczy — zadowolony był, jeśli znalazł się z powrotem w swej otwockiej kryjówce. To kierowcy ciężarówek podstawiali *Volksdeutsche* na drodze, by zatrzymywali samochody, obrabowywali Żydów i porzucali ich w szarym polu.

Prawdopodobnie, gdyby moja żona uratowała się, też bym uciekał do

Częstochowy. A może ulokowałbym ją w polskiej dzielnicy? Była bowiem mała grupa policjantów, którzy wraz z żonami wybrali tę właściwą i zresztą jedyną drogę ratunku. Przygotowali sobie papiery, zgromadzili gotówkę i zamieszkali w polskiej dzielnicy. Prawdą też jest, że byli to inteligenci, o dobrym aryjskim wyglądzie, posiadający także i inne możliwości.

Gdzie jesteście doktorzy Feldhof, Kaduszyn, Tinder, Zajnkram? Czy życie jeszcze? Chcę wierzyć, że choć wam się udało, że choć wy przeżyjecie wojnę. Ale czemuż to Tinderze i Zajnkramie wysłaliście do Częstochowy wasze szwagierki i dalszą rodzinę? Uczyniliście to bezwiednie czy też chcieliście pozbyć się dodatkowego ciężaru... Znam was, to było niezdedykowanie, niepewność, które wyjście jest lepsze. Uczyniliście to w najlepszej wierze. Niech wam Bóg przebaczy i wam pomoże.

W owym czasie nie było policjanta, który uciekłby z getta i zamelił się w polskiej dzielnicy. Większość Polaków nawet słyszeć o tym nie chciała, a tych, co gotowi byli przyjąć — nie znano. Około dziesięciu policjantów, fachowców, stolarzy, krawców zgłosiło się do żandarmerii rembertowskiej na wyjazd do pracy¹³⁶. Twierdzili, że nie ma miejsca bezpieczniejszego od paszczy lwa. Ponieważ grupa potrzebnych robotników była ograniczona, klócili się o miejsca. I tak z dnia na dzień topniała liczba policjantów. Na ich miejsce przybywali inni młodzi Żydzi, przeważnie bracia lub krewni zbiegłych. Dostawali od nich opaski i rozpoczynali pracę. Komendant żydowskiej policji Kronenberg nikomu nie przeszkadzał w ucieczce, żądał tylko, by pozostawić czapkę i opaskę. Działo się to, oczywiście, bez wiedzy żandarmerii. Do czasu.

Pewnego dnia Kuca, sekretarka komendanta żandarmerii Schlichta, zawiadomiła naszego komendanta Kronenberga, że zgłosił się do niej policjant żydowski i zaproponował, że za przepustkę do Warszawy wyda ukrywające się żony policjantów. Kuca, której Kronenberg przez trzy lata posyłał bogate dary za pieniądze *Judenratu*, odwiedzająca się informacją o zdradzie w naszych szeregach. Wszyscy zadają sobie pytanie, kto mógł to zrobić. Dowiaduję się, że podejrzenie pada na mnie. Jestem oburzony, przecież ja nigdy z własnej inicjatywy nie rozmawiałem z Niemcami. Wkrótce jednak sprawa się wyjaśnia.

Dowiaduję się, że swoich kolegów zdradził Christian Herzig, oma-

miony mirażem przepustki, która zresztą nie była mu do niczego potrzebna. Ten potomek jednej z najbogatszych i wpływowch rodzin żydowskich w Polsce, wykształcony inżynier, kawaler, odważył się na coś podobnego. Pamiętam, jak go sprowadzono przed Kronenberga, który kazał mu zdjąć czapkę i pytał:

— Rozmawiałeś z sekretarką Schlichta czy nie? Mów prawdę, albo wiem stoisz jak przed panem Bogiem.

Herzig początkowo zaprzeczał, ale potem przyznał się. Chciał uciec, ale obecni przy rozmowie policjanci złapali go. Kronenberg uderzył pierwszy, później przyłączyli się inni. Niewiele brakowało, żeby go złinczowali. Ja go nie dotknąłem, choć uważałem, że zasłużył na najgorszą śmierć. Nie ja jeden tak myślałem. Wieczorem przyszedł na komisariat żandarm polowy, na rozkaz Kronenberga wyprowadzono Herziga i zastrzelono na miejscu. Przed śmiercią Herzig krzychał:

— Dlaczego mnie zabijacie, przecież ja nie jestem parazytywnym Żydem, tylko chrześcijaninem!¹³⁷

Faktycznie był przechrzta, tak jak i cała jego rodzina. Okrzyki nie mu jednak nie pomogły, żył jak zdrajca, umarł zaś jak podły zdrajca.

Z całokształtu opowiadania można wynieść wrażenie, jakbyśmy się wcale nie bali żandarmerii, jakby żandarmeria nie orientowała się, co się w getcie dzieje. Tak jednak wcale nie było. Jeśli mowa o zastępowaniu zbiegłych policjantów innymi Żydami, to Kronenberg musiał tak robić. W przeciwnym wypadku wydałoby się, że policjanci uciekają. Wtedy on poniósłby za to karę. Ponieważ Niemcy znali tylko ogólną liczbę policjantów, żadne wykazy imienne nie były prowadzone, można było z małym ryzykiem przyjmować nowych ludzi.

Zasadniczo panował wśród nas paniczny strach przed każdym umundurowanym Niemcem. Naszym hasłem było: *der fater schlaft nicht*¹³⁸. Wręczano żandarmom kolosalne sumy pieniędzy i złoto, które policjanci znajdowali przy trupach lub które dostawali od Żydów stojących w obliczu śmierci. Złoto paliło ręce większości policjantów, bali się oni nie tylko trzymać złoto, bali się nawet własnych cieni.

Były ku temu istotne powody. Co kilka dni, przeważnie dwa razy w tygodniu, przyjeżdżała do Otwocka żandarmeria rembertowska z Lipszerem na czele i wraz z polską policją przeszukiwała mieszkania. Co się działo z odnalezionymi tam przez nich Żydami? Część zabijano

na miejscu, niektórych zamykano w areszcie. Aż do momentu egzekucji pilnowali ich policjanci żydowscy.

W takich akcjach brali też udział Polacy, którzy mieli przepustki do getta. Szczególnie nowo mianowani dozorczy wyłapywali i doprowadzali na komisariat Żydów. Oczywiście, nie zapominali przedtem zabrać im wszystkich posiadanych pieniędzy. Przeszukiwali złapanym kieszenie, pruli ubrania, gderając przy tym i narzekając:

— Gdzie macie swoje pieniądze? Dajcie, bo i tak Niemcy wam zabiorą!

Czyż jest człowiek, który byłby w stanie opisać, co przeszli Żydzi, zanim zostali rozstrzelani? Trudno to sobie wyobrazić! Część getta była już częściowo zamieszkała przez Polaków. Kobiety robiły porządki w mieszkaniach, gdzie leżały jeszcze nieostygłe ciała gospodarzy. Inne obierały kartofle przed domami.

Żydzi na to wszystko musieli patrzeć, to był ostatni obraz, jaki utrwał im się przed śmiercią. Ich polscy współobywatele rozpoczynali nowe życie w ich mieszkaniach, dziedzińczyli ich majątek, a oni sami, mając ten tworzący się piękny świat przed oczyma, czekali na śmierć. Są wszak Żydami — nie? Musieli więc w pewnym momencie położyć się sami brzuchem na ziemi i czekać, aż „zbawcza” kula w kark uspokoi ich zbolące serca.

Masowe egzekucje należały bowiem do porządku dziennego. Co kilka dni, gdy w areszcie zgromadziło się już kilkaset osób, przyjeżdżało dziesięciu żandarmów w asyście polskiej policji. Przedtem sprowadzano robotników żydowskich z obozu koncentracyjnego. Przygotowywali oni duże groby zbiorowe, najczęściej na placu przy ulicy Reymonta¹³⁹. Pochowano tam około dwóch tysięcy ludzi. Chowano także w Otwocku koło sanatorium „Marpe”. Pojedyncze zaś groby można odnaleźć w każdym bez wyjątku schronie przeciwlotniczym na terenie byłego getta. Nie zapominajmy, że w Otwocku zastrzelono około czterech tysięcy Żydów. Wiem o tym, bo byłem tego świadkiem.

W nocy przed egzekucją my, policjanci żydowscy, pilnowaliśmy naszych żydowskich współbraci. Wiedzieliśmy, że nazajutrz rano zostaną zastrzeleni, zresztą skazańcy też o tym wiedzieli. Czyż mam opisywać te noce? Zapomnieć ich i tak nigdy nie zapomnę.

Widzę nieduży placyk przed aresztem, ogrodzony siatką, a na nim

gesto sfłoczonych na ziemi kilkaset osób. Siedzą mężczyźni, kobiety, dzieci — wszystko bliźsi lub dalsi znajomi od najmłodszych lat.

Napisałem, żeśmy ich pilnowali, ale to nieprawda. Nikt ich nie liczył, tak że większość mogła spokojnie uciec do Kołbieli czy też gdzie oczy i nogi poniosą. Choć nikt by im w tym nie przeszkadzał, rzadko kto uciekał. Żydzi byli złamani tak duchowo, jak fizycznie, bardziej to pierwsze. Większość straciła chęć życia.

Mam za sobą wiele nocy spędzonych przy mych żydowskich braciach. Przeżywałem je potrójnie: jako Żyd, jako człowiek i jako zwierzę kierowane instynktem samozachowawczym. Te trzy istoty łączył lęk przed śmiercią. Nigdy bowiem nie mieliśmy pewności, że nie zostanie my nazajutrz zastrzeleni. Jednak nie uciekaliśmy, cóż więc dziwić się pozostałym Żydom.

Wszystcyśmy spędzali noce płacząc. Płakali skazańcy, płakali ich dozorczy. Niektórzy zawodzili głośno, przypominali Bogu wszystkie swe dobre uczynki, wskazywali swe małe dzieci, pytając Boga, czy straciłitość nawet nad tymi istotami.

Inni natomiast urągali Bogu, śmieli się z tych Żydów, którzy przez całą noc, ubrani w tańsy¹⁴⁰, śpiewali psalmy i odmawiali modlitwy za zmarłych.

Inni jeszcze w napadzie szaleństwa kpili z siebie samych, wspominając swe wysiłki i trudy, by żyć lepiej, by bogacić się, by zbudować jeszcze jeden dom w Otwocku...

Biedniejsi zaś nie mogli sobie wybaczyć, że przez trzy lata wojny odmawiali sobie wszystkiego, jedli tylko suche kartofle, w obawie przed wyczerpaniem wszystkich zasobów. Teraz zaś oni, biedacy, znaleźli się w sytuacji, że ktoś będzie po nich dziedziczył.

W miarę jednak upływu nocnych godzin modlitwy, płacze i dzikie, niepoahamowane śmiechy słabły.

Gdy skazańcy płakali, płakałem razem z nimi, gdy modlili się, modliłem się razem z nimi. Tak jak inni policjanci-dozorczy podchwytwałem znajome psalmy. Czasami w połowie przerywałem, tknięty nagłą myślą.

Po cóż ja to czynię — pytałem sam siebie — czy w ogóle jest do kogo się modlić?

Czasami zapadałem w półsen i zdawało mi się, że siedzę w kinie na jakimś mrozącym krew w żyłach, okropnym, dźwiękowym filmie.

Gdy krzyki stawały się głośniejsze, budziłem się i rozglądałem dookoła. Wokół siebie, w ciemności nocy, widziałem cienie ludzi płaczących, tulących do piersi własne dzieci. Właśnie, co się działo z dziećmi w te przekłete noce?

Nie widziałem dziecka, w wieku od dwóch do dziesięciu lat, które płakałoby głośno. Przeważnie tuliły się do rodziców, nie grymasiły, nawet nie żądały jedzenia.

Czy to duch rezygnacji, czy mądrość starców w nie wstąpiła? Byliż to dzieci czy stuletnie karty?

Pamiętam małą dziewczynkę, podobną do mojej córeczki. Ujęty jej wyglądem, a przede wszystkim podobieństwem do mojej Aluśki, wziąłem ją od matki do siebie, na drugą stronę ogrodzenia. Posadziłem na kolanach, przytuliłem i tak przetrwaliśmy noc. Gdy usłyszałem, że żandarmeria nadjeżdża, zrozumiałem, że muszę się z nią rozstać. Moja podopieczna, nie znam nawet jej nazwiska, rozpłakała się wtedy głośno i w żaden sposób nie chciała wracać do matki. Czuję, że po tamtej stronie siatki czeka ją śmierć. Zaciśnęła rączki dokoła mej szyi, musiałem oderwać je siłą. Gdy podawałem ją matce, czułem, jakbym własnoręcznie zabijał to dziecko.

Głos jej słyszę do dzisiaj. Swoje myśli także: Jesteś Bóg, istnieje jakaś sprawiedliwość wyższą, która rządzi tym światem? Jeśli tak, to czemuż milczy? Czemu gromy nie spadają z nieba, dlaczego ziemia się nie otworzy, aby pochłoniąć katów kobiet, dzieci i starców?

Żandarmeria zjawiała się zwykle koło godziny ósmej. W porze między świtem a ich przyjazdem większość policjantów ulatniała się pod jakimkolwiek pretekstem. Lepiej było wtedy nie być w pobliżu skazańców. A nuż żandarmerom coś się nie spodoba i zastrzelą również policjantów? Zostawali więc na miejscu tylko ci, którzy musieli — pełniący służbę przy areszcie.

Przyjazd żandarmerów nie oznacza początku egzekucji. Przedtem odbywa się jeszcze oblawa. Niemcy w asyście polskiej policji przeszukują coraz to inne mieszkania. Co chwilę pada strzał. Pojedynczy oznacza śmierć jednego człowieka, salwa — śmierć dziesięciu ludzi, następujący po niej pojedynczy wystrzał zawiadamia, że kogoś dobijają. To jednak rzadko się zdarza, kaci mają zbyt dużą wprawę, by nie trafić z odległości jednego lub dwóch metrów.

Strzałów wysłuchuję stojąc przed aresztem. Nie wolno mi płakać —

a nuż zauważą. Po każdym wystrzale zadaje sobie pytanie, czy złapali ciotkę Góralską i jej syna Mulika, czy może właśnie ten strzał przeciął pasmo ich życia. Pocieszam się, że może ich nie znajda. Można oszaleć!

Dla nas, dozorców, pomocników katów braci naszych, zaczyna się gehenna. Nocą Żydzi nie próbowali uciekać, chociaż doskonale wiedzieli, co im przyniesie ranek. Tylko od czasu do czasu jakiś cień mignął przed oczyma, to pojedynczy uciekinierzy przedostawali się przez dzimry w ogrodzeniu. Zwykle nie było ich więcej niż pięciu, może dziesięciu. Z nastaniem świtu, gdy po całym getcie kręciła się już żandarmeria, nowe siły wstępowały w skażonych. Wszyscy chcieli uciekać. Pewnie z psychologicznego punktu widzenia było to zjawisko zupełnie zrozumiałe, ale my mieliśmy inny, własny punkt widzenia. Co mieliśmy bowiem robić my, biedne ofiary własnej podłości? Zezwalać im na próby ucieczki? Skazane były z góry na niepowodzenie, a dla nas oznaczało to wyrok śmierci.

Wiem doskonale, że istnieje łatwe usprawiedliwienie. Mogę przecież powiedzieć, że nie stałem na warcie sam, bo przy areszcie pełniło służbę co najmniej trzech policjantów. Byłoby to jednak tylko usprawiedliwienie się, ja zaś postanowiłem pisać te pamiętniki nie po to, by się usprawiedliwić, lecz by dać świadectwo prawdzie.

Nie wiem, jakie było nastawienie tych policjantów, którzy uratowali swoje żony. Grunt im się palił pod nogami, myśleli tylko o ucieczce. Pozostali dzielili się na dwie kategorie. Jedni, którym cierpienia uszlachetniły serca, współczuli wszystkim bez wyjątku Żydom i bezinteresownie pomagali innym. Drugich cierpienia uczyniły zgorzkniałymi i ci w cudzych nieszczęściach nie tylko szukali, ale i znajdowali pociechę. Pamiętam adwokata Sołowiejczyka, skądinąd porządnego człowieka, który, słysząc płacz Żydów, nie odczuwał za groźną litości.

— Nasze żony — mówił do nich — mogły umrzeć, a wy nie?

Nie pomagały moje perswazje.

— Innemu Żydzi — powtarzałem — nie są winni temu, że pan własną żonę zaprowadził na plac.

Nie odpowiadał mi nigdy, tylko jeszcze głośniejszym wygrażał skazanym. Pewnego razu, gdy pełniłem służbę, w areszcie znajdowało się około dziesięciu ludzi i o tej liczbie był poinformowany żandarm Irlicht. Naderhanem zwróciłem się do jednego z robotników, niejakiego Karczewskiego, aby ich pilnował, a sam udałem się na śniadanie. Skazańcy poprosili

go o coś do picia, więc poszedł po wodę pozostawiając areszt otwarty. Z tej okazji skorzystała stara Krochmalnikowa i uciekła. Karczewski, gdy to spostrzegł, wszczął alarm. Natychmiast przybiegłem, przyleciał też Sołowiejczyk. Specjalnie nas ta ucieczka nie przejęła. Uciekła? Trudno, niech jej będzie na zdrowie. Jak Bóg da, to nie będzie „smrodzi”.

Po pół godzinie pojawili się dwaj dozorczy Polacy, prowadząc Krochmalnikową między sobą. Złapali ją na granicy getta i spełnili swój „obowiązek patriotyczny”. Sołowiejczyk, jak tylko zauważył Krochmalnikową, rzucił się na nią i przeklinając, raz po raz, bił ją po twarzy. Wtedy oczy otworzyły mi się i prawda wprost oslepiła mnie. Biedny jesteś narodzie żydowski! Zostałeś skazany na zagładę przez twoich wrogów Niemców, przez twoich przyjaciół Polaków, przez twoich wyrodnych synów i braci Żydów.

Najgorsza godzina przychodziła wtedy, kiedy musiałem wspólnie z kolegami przeciwdziałać chęci ratowania się innych Żydów. Gorzej już być nie mogło, czułem jak serce rwało mi się na strzępy. Toteż z uczuciem niezmierniej ulgi witałem przybycie pierwszego żandarma. Wreszcie kończyły się choć moje męczarnie.

Inna rzecz, że pierwszy żandarm wcale nie przychodził, by wykonać wyrok. Uchylał się od ogólnej obławy, bynajmniej jednak nie dlatego, że sumienie nie pozwalało mu zabijać niewinnych ludzi, lecz dlatego, że był to intratny interes. Pieniądże znalezione przy trupach szły do ogólnej puli, wołał więc taki jegomość wykraść się, zjawić się przed aresztem i zakomunikować skazanym:

— Alles Geld, Geld, mysen zi awegeben aznyt werd ir derszosyn.¹⁴¹

Magiczne słowo *derszosyn*¹⁴², jakby za godzinę i tak nie mieli być zabici. Magiczne, bo wszyscy pośpieszają czym prędzej ku niemu, oddają mu wszystkie pieniądze, mówią, że gotowi są pracować po osiemnaście godzin na dobę, byleby tylko ich nie zabijano. Zwracają się do niego: *Unserer Gott*¹⁴³, może i mają rację, boć to on przecież rozporządza ich życiem. Żandarm wszystkich tego wysłuchuje, przynagla do pośpiechu, rozglądając się twórczo dookoła, czy go koledzy nie zauważą, i czym prędzej znika.

Po kwadransie zjawiał się drugi, po nim trzeci i tak ta tragikomedialna trwała, póki nie skończyła się obława. Kiedy wszyscy żandarmi zjawiali się w komisariacie, wiadome było, że za chwilę zaczyna prowadzić

Żydów na miejsce spoczynku — oczywiście wiecznego. Staralem się w miarę sił nie być przy egzekucjach. Przeważnie udawało mi się, a to dlatego, że rano zwalniano mnie, jako pełniącego służbę przez całą noc.

Widziałem jednak, jak odbywała się egzekucja; prawie wszystkie były zresztą do siebie podobne. Od rana żydowski robotnicy z obozu koncentracyjnego kopali masowy grób. Przed wykopem zostawiali trochę piasku. Powstawał nasyp, do którego dochodziła dziesiątka Żydów. Ludzie kładli się bruchem na ziemię, tak że kark był wyraźnie wyżej niż głowa. W tym momencie dziesięciu żandarmów, którzy dotychczas stali tyłem, na rozkaz jednego z nich, odwracało się, mierzyło — i padała salwa. Jeżeli nie mierzyli w kark, lecz w głowę, zdarzało się, że znajdowaliśmy później kawałki rozpryśniętych mózgów w odległości nawet dwudziestu kroków. Ruszających się dobijano pojedynczymi strzałami.

Po każdej salwie stojący z boku robotnicy żydowscy podchodzili do zabitych, przeszukiwali kieszenie i potem szybko wrzucali do rowu gorące jeszcze trupy. Miejsce było wolne, następna dziesiątka mogła podejść. Oczywiście działo się to na oczach kolejnych dziesiątek skazańców, no i na oczach robotników żydowskich. Niejeden z nich potem własnoręcznie wrzucał do dołu stygnące zwłoki żony, matki czy też dzieci. Nikt jednak nigdy nie dał poznać po sobie, że odnalazł zwłoki najbliższych. Wszyscy poruszali się podczas egzekucji jak nakręcone automaty.

Czasem wydaje mi się, że bajką jest twierdzenie świata medycznego, jakoby serce było komorą złożoną z delikatnych opon, które czasami nie wytrzymują cierpienia czy też wzruszenia i pękają, powodując śmierć. Dziś doradziłbym konstruktorom samolotów myśliwskich, by budowali je właśnie z opon sercowych. Na pewno nie pękną i będą wytrzymalsze od najbardziej wytrzymałej stali.

Tymczasem dziesiątka za dziesiątką Żydów szła na śmierć. Szli biernie, powoli, przytuleni do siebie, żony do mężów, starsze dzieci trzymając się poły matczynej sukni, małe dzieci trzymane na rękach. Każdy cał ziemi zroszony łzami, łzami bólu, łzami strachu, łzami rezygnacji, ale nigdy łzami buntu.

Niemcy stoją spokojnie, wachlują się hełmami, są spoceni — dni są takie ciepłe i parne. Wykonują swoją „robotę” automatycznie. Cel! Pal! Cel! Pal! Co to za różnica, czy to w głowę starca, mężczyzny czy też

małego dziecka. Cel! Pal! Cel! Pal! Każda kula przynosi zbawienie i wolność. Dla wielkich Niemiec, za *Vaterland!* Ach, wiele jeszcze jest tych przeklętych Żydów? Rozmnożyli się jak robactwo, które trzeba doszczętnie wytępić dla uratowania prastarej kultury europejskiej. Każda kula pozwala odważnie wejść w posiadanie żydowskiego złota, które umożliwi potem luksusowe życie dzieciom. Cel! Pal! Cel! Pal!

Przed Żydami rozciągał się piękny widok sierpniowego dnia w uzdrowisku otwockim. Przed komisariatem, niedaleko aresztu, stoi sobie grupa Polaków. Jest wśród nich lekarz miejski, doktor Mierostawski (ciekawe po co on przychodził, czy po to, by stwierdzić „prawidłową” śmierć ofiar?). Są też administratorzy i urzędnicy policji kryminalnej, ubrane w przewiewne sukienki i białe kapelusze, z dużymi torbami przewieszonymi przez ramie. To ostatni krzyk mody, tzw. berlinki.

Twarze uśmiechnięte, wesołe. Toczy się głośna rozmowa, uprawia się flirt w dobrym tonie — nie zapominajmy, że znajdujemy się pomiędzy inteligencją. Polacy są zadowoleni ze ślicznej pogody, są wyspani, w dobrych humorach, są gotowi wybaczyć ludziom wszystko.

Jak zaś reagują skazańcy w ostatnich chwilach swego życia? Żydzi mają gorszy charakter od Polaków. Gdy patrzą przez drucianą siatkę na ich twarze, mają im prawdopodobnie mocno za złe uśmiechy. Nie chcą tego widzieć, odwracają głowy. Wtedy spostrzegają gdzieś daleko za szlabanem zaciekawione twarze tych Polaków, którzy nie mają wstępu do getta, a też chcą zobaczyć, jak się prowadzi Żydów na śmierć. Skazańcy odwracają znów głowy. Widzą wtedy swoje mieszkania zajęte przez jeszcze innych Polaków, widzą Polki obierające kartofle przed domami, widzą nową ogniska domowe, tworzące się na ruinach ich bytu. Wtedy kierują wzrok ku niebu. Tam przynajmniej nic nie widzą.

Jeśli jest Bóg, który milczy, to niech go dostępną choć ich przekleństwo.

— Tyś nas wybrał pośród narodów, pokochałeś nas.

— Co zrobi mi człowiek, jeśli Bóg jest ze mną.

— W każdym pokoleniu powstaje wróg, czyhający na nasze życie, ale Bóg, niech będzie święte imię Jego, ratuje nas z jego ręki.

Tak modliły się całe pokolenia Żydów od stworzenia świata. Z jak gorzką ironią wspominać musi wielu ze skazańców te własne modły...

Żydzi pchają się przy furtce, chcą czym prędzej iść na miejsce egzekucji, każda minuta jest im droga. Prędzej! Prędzej! Biegną prawie,

rzucają się na ziemię, niech zbawcza kula dosięgnie, uspokoi zbolełe serce. Dla tych śmierć jest wybawieniem. Inni ociągają się, chcą wyjść ostatni. Jedni dłatego, bo chcą się jeszcze pomodlić, drudzy, bo wciąż mają nadzieję, czekają na jakiś cud. W żaden sposób nie chcą przejść przez furtkę w parkanie otaczającym areszt. Nawet w ostatniej chwili wchodzą do ubikacji, trzeba ich stamtąd wyprowadzać siłą. Policja polska kieruje na nich swe karabiny.

— Idziesz? Bo jak nie, to zostaniesz zastrzelony!

W ślad za Niemcami i oni nauczyli się straszyć natychmiastową śmiercią. Co chwila słyszę głosy:

— Oddaj pieniądze, bo jak nie — *werst du dershosen*¹⁴⁴.

— Połóż się na ziemi brzuchem, bo jak nie *werst du dershosen*.

Jak już leżysz, no to w porządku. Cel! Pal! Cel! Pal!

Nie było Żyda, który przed śmiercią głośno przekląłby swoich katów. Wszyscy byli bierni, zrezygnowani, bez nadziei życia i, co najgorsze, owładnięci jedną myślą — oby tylko nie znęcano się jeszcze przed zadaniem śmierci.

Pamiętam śmierć Mokotowskiej oraz jej szwagierki. Żandarmi znaleźli je w piwnicy, obrabowali z posiadanego złota i zagnali do aresztu. Któryś żydowski policjant poszedł z nimi na powrót do piwnicy, gdzie się ukrywały, by zabrać pochowane tam dolary. Nakrył ich tam polski policjant i wszystkich zabrał. W przeddzień egzekucji te dwie młode, slične kobiety siedziały najspokojniej przed komisarzatem i rozmawiały z policjantami, wszyscy wszak byli znajomymi od wielu lat. Rodzina Mokotowskich należała do najbogatszych i najbardziej znanych w Otwocku. Zatrzymałem się przy nich, wysłuchałem historii ostatnich dni i zapytałem, czemu nie uciekają w świat, do Kołbieli czy też gdzie oczy i nogi poniosą — przecież tu zostaną zabite.

— Eee, tam... — odpowiedziały — nie mamy pieniędzy, jesteśmy w letnich sukienkach, wszędzie dokąd pójdziemy, przyjdzie żandarmeria. Ukryjemy się w komisarzacie.

Nazajutrz, gdy egzekucja dobiegała już końca, przechodziłem ulicą Reymonta i zobaczyłem obie Mokotowskie. Trzymając się za ręce, przodem maszerowały w kierunku drżącego placu śmierci.

— Dziewczęta — zapytałem drżącym głosem — wy też?

— Tak — odpowiedziały — Kronenberg kazał nam wyjść z komisarjatu.

Szły coraz prędzej. Ostatnie pięćdziesiąt metrów zaczęły biec. Dobiegły do nasypu, pocałowały się w przelocie i rzuciły na ziemię, wciąż trzymając się za ręce. Cel! Pal! Mózgi rozprysnęły się, ręce zacisnęły w ostatniej konwulsji. Nie mogąc ich rozdzielić, robotnicy oba ciała zrzucili razem do dołu. Nigdy nie byłem ciekaw egzekucji, ale tym razem przystanąłem i patrzyłem, jak one biegną do nasypu. Nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, czemu tak biegną na spotkanie śmierci.

Pamiętam też dobrze śmierć jakiejś nieznannej kobiety. Na komisarjacie przyszedłem około godziny czwartej, o tej porze było już dawno po egzekucji. Nieoczekiwanie zatrzymał mnie jakiś żandarm i kazał zaprowadzić jakąś kobietę na plac. Trudno, nie było rady, prowadzę ją. Przeklinam w duchu moją nieostrożność, ale cóż zrobić? Idziemy, idziemy, ale w żaden sposób nie możemy dojść. Kobieta co chwila staje, obiecuje tysiące złotych, byłbym tylko ją puścił. Prosi, błaga, zaklina i wreszcie zaczyna mnie przeklinać.

Tłumaczę się przed nią, że puściłbym ją i bez pieniędzy, ale przecież jesteśmy otoczeni polską policją, obserwowani przez żandarmów. Pytam, czemu nie uciekla w nocy. Kobieta wpada w histerię, zaczyna się wyrywać, przeklina, krzyczy, że to ja będę odpowiedzialny za jej śmierć. Gdybym mógł, to bym uciekł przed jej przekleństwami. Zjawia się polski policjant, ujmuję ją za rękę i siłą doprowadza na plac. Całe moje szczęście, że nie znam jej nazwiska. Ale cóż z tego? Do dziś słyszę jej przekleństwa. Zastużyłem na nie czy też nie? Sumienie mówi mi, że tak.

Egzekucje odbywały się dwa razy tygodniowo w ciągu czterech tygodni. Mógłbym jeszcze dużo o nich pisać, ale chcę skończyć z tym tematem — za dużo zdrowia tracę pisząc o tym. Wspomnę więc jeszcze tylko o epizodach, które najmocniej utrwaliły się w mojej pamięci.

W czasie jednej z ostatnich masowych egzekucji prowadzono na śmierć [Tobiasza] Mokotowskiego. Dokoła niego kręcił się jak fryga policjant Noj i, skacząc ze wszystkich stron, nalegał:

— Zdejmij marynarkę, na co tobie teraz potrzebna marynarka? Daj mi ją!

Mokotowski szedł wyprostowany, nie odpowiadając nawet jednym słowem. Noj zaś krążył jak szalony, szarpał za rękawy, ale to nic nie pomagało. I odszedł jeden Żyd obrażony na drugiego Żyda za to, że tamten wolał być pochowany w marynarce, niż ją oddać.

Matesie Noj, jak się usprawiedliwiasz przed swym sumieniem? Ja wiem, powiesz mi, że tamtemu było bez różnicy, a tobie były potrzebne pieniądze dla ratowania żony i dziecka. Jednakże, o ile twoja żona i dziecko są obecnie zabezpieczone, życzę ci, aby spełniły się „błogosławieństwa”, którymi Mokotowski obdarzał cię w duchu przed swą śmiercią.

Innym razem sprowadzono do komisariatu jakiegoś niemieckiego Żyda, znajomego żandarma Schlichta, jeszcze z dawnych czasów, z Berlina. Byliśmy pewni, że nie zostanie zabity, zwłaszcza że Schlicht przywitał się z nim i przez dłuższy czas rozmawiał jak ze starym znajomym. Zabił go jednak osobiście wraz z kilkoma innymi osobami. Po egzekucji krzyknął gromko i wesoło do Kronenberga:

— *Der Berliner!* Pochowajcie na górze, oddajcie mu cześć, wszak to mój przyjaciel!

Ach, jak dobrze mieć przyjaciół Niemców...

Pamiętam też historię z córkami Wajdenfelda, Żyda przechrzty. One urodziły się już jako katoliczki. Mieszkały cały czas w polskiej dzielnicy, jedna była zamężna z Polakiem, miała małe dziecko i była w ciąży. Żandarm Irlicht sprowadził je osobiście spoza getta.

Byliśmy w stu procentach przekonani, że zostaną „rozwalone”. Tymczasem zrobił się krzyk pomiędzy Polakami, interweniował ksiądz, interweniował magistrat, dość że żandarmieria ich nie zabiła. Zostały wysłane do innego getta, do Wołomina. Rzecz zrozumiała, że stamtąd uciekły.

Poza tym wypadkiem nie było żadnej choćby próby protestu ze strony Polaków. Zrozumiałem wtedy, że wymordowanie Żydów odbyło się, jeśli nie za ich milczącą zgodą, to przynajmniej przy powszechnym *désintéressement* opinii polskiej. Dlatego może wybrano Treblinkę na miejsce kaźni nawet dla Żydów francuskich, belgijskich czy holenderskich. Widocznie warunki „klimatyczne” nie pozwalały Niemcom na wybudowanie kaźni na tamtejszych terytoriach.

Kolejny epizod, który mocno utkwiał mi w pamięci, to egzekucja osiemnastoosobowej grupy Żydów obojga płci, którzy uciekli z getta i nie mając gdzie się podziać, siedzieli na polu niedaleko Karczewa. Między nimi znajdował się stary [Jankiel] Braff wraz z córką, która była w ostatnim miesiącu ciąży. Braffówna, chyba pod wpływem emocji, poczęła rodzić. Stary ojciec przyjął dziecko i płód położył na trawie.

W kilka godzin potem przechodził polaną żandarm, zauważył grupę Żydów i kazał się im położyć na ziemi. Padł strzał, jeden, drugi, trzeci i karabin nagle odmówił posłuszeństwa. Okazało się, że Niemcowi zabrakło kul w magazynku. Posłał więc polskiego chłopczyka na komisarjat karczewski z poleceniem, aby mu dostarczono amunicję. Sam zaś usiadł i czekał, zupełnie bezbronny, bo — jak powiedziałem — nie miał już żadnego naboju przy sobie.

Cóż zrobili wtedy Żydzi? Czy rzucili się na niego, by pomścić śmierć swych najbliższych? Czy też może rzucili się do ucieczki... Nadał leżeli twarzami do ziemi i czekali, czekali przeszło pół godziny na dostarczenie kul — widocznie zbawczych kul. Przybył wreszcie polski policjant z amunicją. Żandarm zastrzelił resztę Żydów, zabił matkę, zabił płód parogodzinny. Robotnicy żydowscy z obozu pochowali zamordowanych, niejeden chował swoją żonę, niejeden brata swego. Co za różnica? Teraz tam w Karczewie, obok małego wzniesienia koło młyna, leży pochowanych osiemnastu Żydów. Ten niewidoczny grób jest po wsze czasy świadkiem wandalizmu niemieckiego czy też świadkiem żydowskiego tchórzostwa?¹⁴⁵

Na koniec opiszę śmierć Żyda, któremu dane było umrzeć w tych tragicznych dniach wrzesniowych w nieświadomości swego losu. Był to Frajbergier, właściciel dużej nieruchomości położonej w Otwocku, przy ulicy Mickiewicza, człowiek w starszym wieku, cierpiący na raka żołądka. W dniu akcji Ukraińiec pozostawił starego w mieszkaniu, gdy ten wylegitymował się, że jest ojcem policjanta. Po akcji syn jego Michał, inżynier radiotechnik, mój dobry przyjaciel, umieścił go w szpitalu żydowskim, w „Marpie”, gdzie początkowo chorych pozostawiono w spokoju.

Po dwóch tygodniach wszystkich pacjentów sprowadzono do aresztu, aby ich po paru dniach rozstrzelać. Michał wespół ze mną przygotował dla ojca lekarstwo, po czym udaliśmy się do aresztu, gdzie na noszach leżał stary Frajbergier.

— Ojcie — odezwał się Michał — mówiłem z doktorem Mierosławskim. Zgodził się przyjąć ciebie do sanatorium miejskiego, gdzie pozostaniesz przez cały czas wojny. Musisz tylko odpisać mu pół willi.

— Zgadza się, Michał — odparł stary — dziękuję ci...

— No to wypij lekarstwo, które dał ci doktor — nakazał syn — Uśniesz, a w nocy, przeniosą cię do sanatorium. Calek mi pomoże.

Stary spojrział na nas wdzięcznym okiem i pełen jak najlepszych myśli wypił... wielką dozę weronalu. Usnął i spał przez całą dobę. Potem serce automatycznie przestało bić. Pochowaliśmy go przy willi komisariatu w osobnym grobie.

Jaki był w owym czasie stosunek Kronenberga do Żydów? Przed akcją miał on nieograniczoną władzę, jednakowoż nie wykorzystywał jej, mając pewnie na względzie to, że po wojnie wróci za ladę swego galanterijnego sklepu. Teraz zaś, gdy zorientował się, że już Żydów w Otwoku nie będzie, przestał się liczyć z czymkolwiek.

I tak ojca swego, którego stracił w dniu akcji, nie żałował.¹⁴⁶ Któż by żałował osiemdziesięcioletniego starca!? Nie tylko palcem nie kiwnął, żeby go ratować, ale nawet nie podszedł do niego na placu, aby się z nim pożegnać. W pierwszych dniach akcji bał się jeszcze o swoją skórę, planował rozmaite sposoby ucieczki. Później czas mijał dzień za dniem, a żandarmeria traktowała go coraz lepiej. Nic dziwnego, opłacał się sowicie złotem znalezionym u Żydów. Uspokoił się więc zupełnie, jego żona Tola kręciła się spokojnie pomiędzy żandarmami. Nie omieszkała się nawet pochwalić przed wszystkimi policjantami, że komendant żandarmerii odezwał się raz do niej:

— *Guten Morgen, Frau Kronenberg.*

To wszystko wpływało dobrze na samopoczucie Kronenberga i budziło w nim pewność, że jemu samemu nic się nie stanie. Pamiętam, gdy wprowadzano skazańców na śmierć, Kronenberg siedział spokojnie na krześle i z ołówkiem w ręku notował kolejne dziesiątki. Wtedy już pewnie przestał wierzyć w to, że jest Żydem. Ani płacze, ani jęki współbraci nie znajdowały oddźwięku w jego sercu. Cóż on miał wspólnego z tymi Żydami? Tylko żona jego Tola głośno rozpacziała w dzień i w nocy.

— Moja biedna Nellusia, moja córuchna najdroższa!

Żydzi idący na śmierć słyszeli jej płacze i zgrzytali zębami w beśpisnej złości. Policjanci żydowscy na widok Toli odwracali głowy, aby nie wyczytała nienawiści w ich oczach. Mebli przekleństwa między zębami, ale milczeli. Gdzie się tylko zebrala grupa policjantów, którzy wieczorami przeważnie siadali razem, oplakując swoje żony, zjawiała się Tola i wykrzykiwała.

— Moja biedna Nellusia, zabili mi ją!

Po chwili odchodziła, znów wołając głośno.

— Pupuś! Pupuś! Gdzie jesteś ty niesformy łobuzie? Chodź do swojej matki!

Krzyki jej rozlegały się coraz głośniejsze, słysząc je było w areszcie, a nawet w polskiej dzielnicy. Niejeden Polak przystawał dziwiąc się, kogo to wołają w wymarłym getcie.

— Aha — po chwili machał ręką — to Kronenbergowa woła swego pieska na kolację.

Stratę foksterierki Nellusi porównywała żona naszego komendanta do straty naszych dzieci i co gorsze musieliśmy tego słuchać i milczeć. Największą sztuką na tym podłym świecie jest milczeć, gdy serce krwawi, a pięści się zaciskają.

Getto pustoszało z dnia na dzień. Ukrywających się już nie było. Nie było też mieszkań do rabowania. Wszystko zostało wywiezione przez żandarmerię niemiecką, ukradzione przez policję polską albo zrabowane przez otwoki motłoch. Zbliżał się termin wyjazdu do obozu wszystkich otwoczek Żydów, którzy pozostali przy życiu. Wszystkich, z wyjątkiem takich, jak mój ojciec.

W czasie akcji losy mojego ojca potoczyły się bowiem zupełnie inaczej. 19 sierpnia uciekł on wraz z matką do polskiej dzielnicy, do znajomego urzędnika sądowego.¹⁴⁷ Tam spędził noc, rano zaś przybiegł do getta zobaczyć, co się dzieje. Mnie akurat w mieszkaniu nie zastał, moja siostra Rachel przepędziła go czym prędzej. Rzecz zrozumiała, że nawet nie pomyślała o tym, że i ona, choć żona policjanta, też jest zagrożona.

Ledwie ojciec znalazł się z powrotem w polskiej dzielnicy, ze wszystkich stron poczęły padać strzały. Gdy dotarł do mieszkania, gdzie była ukryta matka, zastał ją już na podwórzu. Po pierwszym strzale w getcie gospodarze pokazali jej drzwi. Ojciec z matką nie mieli innego wyjścia, jak ukryć się w trawie niedaleko getta. Wdzieli stamtąd, jak kręciła się żandarmeria, jak wyłapywano Żydów, którzy chcieli uciec do polskiej dzielnicy. Byli świadkami, jak motłoch polski urządził polowania na Żydów, których — po obrabowaniu — oddawano w ręce żandarmów.

Rodzice mieli szczęście, zahaczył ich co prawda „znajomy”, ale dał się uprosić, wziął tysiąc złotych i nie doniósł żandarmerii. Przeżyli też całą gehennę strachu, gdy mały piesek stanął przy krzakach, w których się schowali, i zaczął głośno ujadać.

Przesiedzieli tak cały dzień, nie pewni, co się dzieje z ich dziećmi

i innymi mieszkańcami getta. Wieczorem uprosili swą służącą Malgosię, by za opłatą pozwoliła im przenocować w stodole. Nad ranem udali się dalej. Chcieli żyć, musieli więc szukać miejsc, gdzie mogliby się ukryć. Ale gdzie?

Gnani siłą przyzwyczajenia udali się do swej willi na ulicy Kościelnej. Liczyli na swoich lokatorów, Polaków. Prawie ćwierć wieku żyli razem pod jednym dachem, sądzili więc, że mogą liczyć na schronienie. Gdy dotarli do willi, ojciec ulokował matkę na klatce schodowej, tuż pod strychem, sam zaś rozpoczął upiorną wędrówkę pomiędzy lokatorami. Ci jednak bali się nawet przepuścić go przez próg mieszkania.

— Uciekaj pan, panie Perechodnik — powiedział pierwszy — bo nas pozabijają.

Takimi słowami, choć w stu odmianach, witali go wszyscy przyjaciele i przedwojenni lokatorzy. Zniechęcony ojciec zapukał wreszcie do panny Dąbrowskiej, lokatorki, która wprowadziła się w 1940 roku, a więc tuż przed utworzeniem getta. Siłą rzeczy więc nie istniały prawie żadne stosunki pomiędzy nią a moimi rodzicami. O dziwo, Dąbrowska zgodziła się i nawet nie chciała słyszeć o wynagrodzeniu pieniężnym. Zdecydowała jednak opuścić swoje mieszkanie (pokój z kuchnią), bo bała się mieszkać razem z nimi. Miała nadzieję, że w razie wsypy będzie wyglądało, że ojciec jako były gospodarz miał klucze przy sobie i bezprawnie zajął mieszkanie podczas jej nieobecności. Lokatorka kupiła im jeszcze zapas chleba i nie czekając na podziękowania opuściła mieszkanie.

Rodzice dziękowali Bogu, że natchnął ich kiedyś myślą zbudowania tego domu i że budowali solidnie; ściany są grube, nie przepuszczają dźwięków. Mogą spać spokojnie. Wieczorami zjawiała się panna Dąbrowska, przynosząc zawsze chleb. Nękał ich tylko niepokój o to, co dzieje się w getcie.

Pewnego wieczoru ojciec zdecydował się na wypad do getta. Znalazł mnie w komisariacie. Ponieważ nie można było tam spokojnie rozmawiać, posłaliśmy czym prędzej do jego starego mieszkania. Wtedy dowiedziałem się, gdzie rodzice się ukrywają i co się z nimi działo przez ostatnie dni. W zamian opowiedziałem ojcu o tragicznym losie naszej rodziny. Wspominałem też, w jaki sposób woźny Franciszek

rabował jego rzeczy z mieszkania Janka i Racheli. Ojciec mnie wysłuchał, z trudem hamując wściekłość.

— Jak mogłeś zaprowadzić żonę na plac — wykrzykiwał — wiesz przecież od dawna, że Niemcom nie można ufać.

Odnosiłem wrażenie, że jeszcze bardziej wściekły jest z powodu incydentu z rzeczami, których nie upilnowałem. Jednak, jako człowiek energiczny, nad tym, co było, przeszedł prędko do porządku dziennego.

— Calek — oświadczył — trzeba pilnować reszty rzeczy, garniturów, koldry, poduszek. Żyjący człowiek musi mieć z czego żyć, na czym się położyć spać.

Otworzyłem szeroko oczy: dopiero co dowiedział się o śmierci swej córki, synowej, wnuczki, a już mówi o poduszkach. Bestia to czy człowiek? Pilnować jego pościeli, jakby całe getto nie było zawałone poduszkami. Po co to? Kto myśli o przyszłym życiu? Nic nie odpowiedziałem, wręczyłem mu tylko kilka koszul i doprowadziłem do granicy getta. Ta pierwsza wizyta nie pozostawiła we mnie uczucia radości. Co prawda rodzice się uratowali, ale niesmak przygłuszył synowskie uczucia. Pozostaje we mnie tylko poczucie obowiązku wobec nich.

Musiąłem jednak przygotować dla nich rzeczy, żeby mieli się w co przebrać i ewentualnie co sprzedać. Odebrałem więc z komisariatu walizkę, którą przywiozłem w wieczór mojej niefortunnej eskapady do gimnazjum i zaniósłem ją do mego pokoju w *Judenracie*. Wyjąłem także z piwnicy dwa plecaki, które żona tam wrzuciła przed pójściem na plac.

Plecaki schowała do piwnicy, sama zaś...

W mieszkaniu ojca znalazłem jeszcze kilka drobiazgów i jego garnitur. Wszystko to przekazałem mu przetrucając walizki przez parkan getta.

Pewnego wieczoru ojciec zjawił się w getcie w towarzystwie młodego lekarza weterynarii Staska M.¹⁴⁸, mojego starszego kolegi szkolnego. Przywitałem się z nim serdecznie, ale ze zdziwieniem. Przypominam sobie, że on i jego brat Stefan, absolwent Akademii Rolniczej, byli przed wojną znanymi antysemitami. Obydwaj zerwali stosunki towarzyskie z kolegami Żydami. Skąd więc kontakty ze starym Perechodnikiem? Prawda, ojciec był przed wojną w zażyłych stosunkach z ich nieboszczkiem ojcem, organistą otwockiego kościoła. Nadal jednak nie wiedziałem, jaką mam przyjąć postawę w rozmowie. Skończyło się na tym,

że Stasiek wziął walizki ojca i zaniósł je do siebie. Moje pozostały u kolegi Niki Zemela.

Po paru dniach wyprowadzony z równowagi ojciec zjawił się w towarzystwie matki. Okazało się, że nerwy matki nie wytrzymały. Nie mogła już dłużej tkwić w zamknięciu, bała się głośno mówić, wręcz bała się oddychać. Toteż sama, nie pytając ojca, wyskoczyła w ślad za nim, zatrasnęła drzwi i pobiegła do getta. Oświadczyła mi, że woli siedzieć w piwnicy, byle razem z Żydami.

— Z Żydami można co najwyżej razem umrzeć — odpowiedziałem zimno — ale żyć razem się nie da.

Odpowiedzi już nie usłyszałem, bo kłapa od piwnicy zatrasnęła się za matką.

Ojciec natomiast nie miał najmniejszego zamiaru chować się do piwnicy. Oświadczył, że on chce żyć i wie, że między Żydami czeka go najwyżej kula. Zdecydował więc od razu, że wyjedzie do Warszawy. Może mu się uda. Wygląd ma niezły, jest siwowym szatynem, oczy ma szare, nos zadarty. Niestety, jego polska wymowa nieco kuleje. Sądził jednak, że da sobie radę. Wychodząc powiedział jeszcze, że postara się też ulokować gdzieś matkę.

Ostatnią noc w getcie spędził ukryty u mnie w *Judenracie*. Dałem mu połowę posiadanych pieniędzy i teczkę z bielizną. Rano wymknął się nie zauważony przez nikogo. Dzień spędził schowany w ogródku rodziców Staśka M. Wieczorem kupili mu bilet, wsiadł do pociągu elektrycznego i pojechał szukać szczęścia w Warszawie. Może liczni znajomi przyjmą go i gdzieś ulokują na stałe?

Pierwszą noc spędził u byłego referenta P. Gdy jednak przyszedł nazajutrz wieczorem, już mu nie pozwolili zanoćować, a ich służąca zabrała mu prześcieradła i nocną koszulę. Kilka kolejnych nocy spał po różnych piwnicach. Spotkał na ulicy pannę K., która go przyjęła i być może udałoby mu się zostać u niej na dłużej, gdyby nie jej brat. Siedemdziesięcioletni prezes K., który przed wojną odgrywał dużą rolę w życiu społecznym, również stary znajomy ojca, odradził siostrze przeniechanie Żyda. Ojciec usiłował go przekonać, ale bezskutecznie. Stary K. tłumaczył, że nie można mieszkać bez *kennikary* polskiej. Obiecał nawet, że mu ją wyrobi i wzięty sto złotych na początkowe koszty. Po fakcie, kiedy ojciec przychodził, służąca zawsze mówiła:

— Pana prezesa nie ma w domu.

Rad nieraż szukał ojciec dalej, aż udało mu się wynająć mieszkanie u jakiejś starej kobiety, dorożkarki. Pobyl tam kilka dni, aż do momentu, gdy usłyszał kłótnię sąsiadów i okrzyki.

— Ta stara trzyma Żyda z getta!

Usłyszawszy to, już do mieszkania nie wrócił. Zwrócił się do kolejnego starego znajomego, niejakiego Michalskiego, właściciela dwóch domów i pralni w Warszawie. Przyjęty został jak najlepiej.

— My panu chętnie pomożemy — usłyszał — nasz bratanek mieszka w dużym samotnym domu w Żukowie, tam pan pojedzie i spędzi cały czas wojny.

Umówili się, że ojciec odpisze bratankowi po wojnie plac. Zapobiegliwy Michalski sprawdził, oczywiście, czy ojciec jest faktycznym właścicielem hipotecznym. Już z Żukowa przysłał do mnie ojciec obszerny list. Przyniósł go sam Michalski.

Gdybym ja wszystkiego bezwiednie nie popsuł, pewnie ojciec spędziłby tam całą wojnę. Stało się jednak inaczej. Gdy zobaczyłem w Otwocku okazałą postać Michalskiego, którego znałem jeszcze sprzed wojny, natychmiast nabrałem do niego zaufania. Wiedziałem, że jest bardzo bogaty, miałem go za uczciwego człowieka, toteż bez wahania poprosiłem, by zabrał ze sobą walizki dla mojego ojca. Wiedziałem, że sam mam małe szanse przeżycia wojny, zresztą nie wiedzieliśmy nawet, czy tu, w Otwocku, nie zostaniemy któregoś dnia rozstrzelani. Chciałem więc zabezpieczyć ojca.

Michalski taskawie się zgodził, wziął walizkę, którą spakowała siostra Magistra, palto zimowe ojca i poszedł.

Po kilku dniach bratanek Michalskiego przyniósł mi kolejny list od ojca z Żukowa. Twarz młodego nie wzbudziła we mnie zaufania, ale dałem mu kolejne rzeczy do przewiezienia. Oddałem własną koldrę, tak byłem zadowolony, że choć ojcu się udało.

Dziś myślę, że obydwoj Michalscy najpierw obejrzeliby zawartość walizki, a potem doszli do wniosku, że nie warto trzymać Żyda. Lepiej podzielić się rzeczami, a ojcu wskazać drzwi. Najpewniej tak było, dość, że młody Michalski po powrocie do Żukowa opowiedział ojcu „bajkę o żandarmerii”.

Ojciec, zmuszony do opuszczenia mieszkania, udał się do getta w Parczewie¹⁴⁹. (Tam również odbyła się akcja, ale tych, co się schowali, pozostawiono na razie na wolności.) Stamtąd jakaś Polka przyniosła mi

trzeci list od ojca, w którym prosił, bym mu przysłał buty zimowe i sweter. Zrozumiałem, że rzeczy u Michalskiego przepadły zabrane przez żandarmerię.

Mówi się trudno, przyszykowałem więc kolejną paczkę: buty, sweter, koszule, prześcieradła. Te rzeczy nie dotarły jednak do ojca. Ustyszał kolejną bajkę o Niemcach, którzy zabrali wszystko w pociagu, „poznając”, że są to rzeczy żydowskie.

Tymczasem młody Michalski, nie wiedząc, że ojciec zawiadomił mnie o wszystkim, odwiedził mnie po raz drugi. Zakomunikował mi, że ojciec był zmuszony na kilka dni opuścić mieszkanie, ale on gotów jest nadal go trzymać. Zażądał za to sumy trzydziestu tysięcy złotych. O tym, że przywłaszczyl sobie rzeczy, nic nie powiedział, że pieniądze też chciał przywłaszczyc, domysliłem się sam. Gdy Michalski zorientował się, że nie dam mu tak wielkiej sumy, zażądał, bym zapłacił mu za to, że odprowadził ojca do Żukowa. Z trudem wstrzymałem się, by mu nie powiedzieć w oczy, że jest zwykłym złodziejem i aferzystą. Bojąc się, by nie zaszkodził ojcu w Parczewie, przyrzekłem, że dam mu pieniądze za parę dni. Wiedziałem, że za kilka dni wyjeżdżamy i że go już więcej nie zobacze.

Tak jak wszyscy policjanci, mieszkalem nadal w gmachu *Judenratu*. Mój szwagier Janek początkowo nie chciał mieszkać z nami. Może nie chciał być z nikim związany, może chciał sobie zostawić wolną drogę do ucieczki, może myślał, że będę mu ciężarem. Zmieniło się to, kiedy Rynaldo przed swoją ucieczką ukradł mu marynarkę. (W ogóle jeden policjant co chwila był okradany przez drugiego.)

Kiedy więc zamieszkał wreszcie razem z nami, związała nas trzech¹⁵⁰ prawdziwa przyjaźń. Tworzyliśmy trójkę dobraną pod względem intelektualnym. Przedtem stosunki moje z Jankiem były poprawne, ale mocno chłodne. Nie odpowiadał mi sobie. Był, co prawda, bardzo dobry, delikatny w obejściu, pracowity (choć nie miał inicjatywy), ale przede wszystkim nie lubił zdawać rachunków z tego, gdzie i na co wydał pieniądze. Z takim złotym charakterem był lubiany przez wszystkich — tylko nie przez mego ojca, którego całe życie, całe wychowanie było jednym głośnym protestem przeciwko takiemu postępowaniu.

Ja miałem charakter podobny do ojca: lubiłem pieniądze. Co prawda nigdy nie łasiłem się na cudze, pod tym względem byłem wyjątkowo

uczciwy, ale też własnych pieniędzy nikomu nie darowałem. Lubiełem się liczyć co do grosza, twierdząc, że dobre i dokładne rachunki tworzą dobrych przyjaciół. Byłem również drobniagowy — też charakterystyczna cecha mego ojca. Po akcji cierpienia urobiły mnie i stworzyły nowego człowieka. Pamiętam pewien epizod, mocno niepochlebny dla mnie i charakteryzujący moją starą mentalność. Pewnego razu, gdy nad ranem pełniłem służbę w areszcie, jeden ze znajomych ojca wręczył mi około dwustu dolarów papierowych. Żandarmeria kręciła się dookoła, bałem się więc trzymać banknoty przy sobie. Schowałem je więc w jednym z pokoiów komisariatu. Mogłem je oddać Jankowi, ale nie miałem do niego zaufania. Nie były jeszcze liczone, poza tym byłby do nich współnikiem. Bóg mnie też słusznie ukarał: któryś z policjantów pieniądze znalazł i zabrał sobie.

Z perspektywy dnia dzisiejszego mogę dwojako patrzeć na tę sprawę: jako na objaw kary Bożej lub też jako na objaw sprzyjania mi przez Opatrzność. Przekonałem się bowiem, że im jakiś policjant był bogatszy, tym prędzej ginął. Pieniądze tylko pozornie dawały duże możliwości ratowania się. Najczęściej wybierano ucieczkę samochodem do Częstochowy lub Krakowa. Tam jednak czekało nie życie, lecz śmierć. Może i ze mną byłoby to samo. Nie posiadając jednak płynnej gotówki, związany rzeczami, które były na przechowaniu u Magistra, zmuszony byłem do ulokowania się w pobliskiej dzielnicy. Z drugiej strony te pieniądze — teraz właśnie, kiedy piszę te słowa — bardzo by mi się przydały, nie stałoby przede mną widmo głodowej śmierci.

W każdym razie od tego wydarzenia datuje się zupełna zmiana mojego charakteru. W pierwszych dniach akcji byłem jeszcze chytry na pieniądze i rzeczy. Po historii z dolarami nastąpił we mnie przewrót.

Kilka dni później zdarzył się charakterystyczny epizod, po którym już siebie nie poznawałem. Staliśmy przy areszcie, jakaś kobieta dała mnie i mojemu koledze brylant, wielkości może trzech karatów. Kolega chciał wmowić mi, że jest on fałszywy. Zgodziłem się, by poszedł z nim przepytac się u znawcy, ale pod warunkiem, że jeśli okaże się fałszywy, to ja go otrzymuję na własność.

Kolega poszedł sam do znawcy, po czym oświadczył mi, że brylant jest imitacją. Poprosił mnie, bym mu go dał, bo chce zrobić prezent przyjaciółce.

Zgodziłem się. Czy mu wierzyłem? Bynajmniej! Nie miałem po prostu ani chęci walki, ani starania się o pieniądze.

Z dnia na dzień coraz mniej interesowałem się życiem codziennym, wpadałem w coraz większą apatię. Nie obejrzałem się, jak sfer naszego życia ujął Janek. Prowadził wspólną kasę, kupował jedzenie, w ogóle wszystko załatwiał. Ja całymi dniami leżałem w łóżku, bezmyślnie patrząc w niebo. W nocy wychodziłem, by zanieść jedzenie schowanym w piwnicy i pełnić służbę w komisariacie. W dzień służby pełnić nie chciałem, serce nie wytrzymało już widoku mordowanych Żydów, ani też nie mogłem patrzeć na roje Polaków, otaczających jak sępy getto.

W tym czasie mogliśmy jeszcze bezkarnie, pod pozorem zakupów, kręcić się po polskiej dzielnicy. Korzystałem z tej możliwości. Nie odczuwałem już bólu patrząc na nasze domy, widząc poprzez firanki bezpieczne i spokojne ogniska domowe. Przestałem po prostu żałować domów, majątków, rzeczy, chciałem tylko, by najbliżsi byli znowu ze mną.

Pewnego razu zobaczyłem w polskiej dzielnicy dziewczynkę pchającą przed sobą wózek z dwuletnim może dzieckiem. Nogi ugięły się podę mną. Poznałem spacerówkę mojej córeczki. Spojrzałem na dziecko małe niewinne dziecko i poczułem nieprzepartą chęć zaduszenia go własnymi rękoma. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że aryjskie dziecko ma prawo jeździć w zrabowanym wózku, a moja Aluśka, ponieważ urodziła się z rodziców Żydów, nie tylko nie ma prawa jeździć swoją spacerówką, ale w ogóle nie ma prawa żyć. Ten obraz przesładował mnie długo, więc od tej pory, w miarę możliwości, unikałem polskiej dzielnicy.

Nie mogłem natomiast unikać chodzenia po getcie, na co też trzeba było mieć mocne nerwy. Puste ulice, puste mieszkania, szyby wybite, drzwi stoją otworem, schrony przysypiane niedbale piaskiem, z którego gdzieś sterczą ludzkie kości, obgryzane przez psy lub dziobane przez ptaki. Na ulicach fruujące na wszystkie strony pierze, stare kary żywnościowe, fotografie i dowody osobiste. W mieszkaniach pozostały tylko stare, święte księgi żydowskie. Poza tym wszystko stało się poszukiwanym towarem: połamane krzesła, najgorsze szmaty, popękane garnki, nawet wieszaki. Każda rzecz znajdowała amatora wśród Polaków, którzy w dzień i w nocy dźwigali swe łupy. Później, gdy już nie

nie było do zrabowania, zaczęto zabierać również stare księgi hebrajskie, chyba na makulaturę. Teflin¹⁵¹ zaś poszukiwali kamasznicy dla swoich celów produkcyjnych.

Z dnia na dzień zmniejszała się liczba policjantów, coraz to inny uciekał. Uciekł też Grandowski, znany radiotechnik, ale wrócił po kilku dniach. Okazało się, że pojechał do Kosowa, gdzie od Ryknera dowiedział się o okolicznościach śmierci transportu otwockiego, a także o tym, że tenże ostrzegł Kronenberga. Te wiadomości spowodowały u Grandowskiego chorobę umysłową. Nie mógł znieść myśli, że on sam, na rozkaz komendanta *Ghetto-Polizei*, wyprowadził żonę i córkę z piwnicy. Czując się odpowiedzialny za ich śmierć, nie chciał dłużej żyć. Zwrócił się do Schlichta z prośbą, by ten go zabił. Oczywiście, Niemiec odmówił. Oni chętnie zabijają tych, którzy chcą żyć, a nie tych, co proszą o śmierć.¹⁵² Grandowski usiłował skutecznie otruć się wernalem, po czym w przystępie obłędu postanowił sam pojechać do Treblinki. Dojechał tylko do Małkini, gdzie został rozpoznany przez zandarmów i rozstrzelany.

Mój szwagier Janek chętnie natomast bywał poza gettem. Często odwiedzał swych kolegów Staśka i Stefana M., o których już pisałem. Opowiadał mi cuda o tym, jak jest przyjmowany, a zwłaszcza jak serdeczna jest dla niego ich matka. Myślę, że musiała zająć w nich wielka metamorfoza, zwłaszcza że czynią to wszystko bezinteresownie. Przekonałem się i też zacząłem tam chodzić. Po raz pierwszy odczułem macierzyńską serdeczność kobiety, która rozumie moją tragedię, chce ulżyć moim cierpieniom i w miarę możliwości mi pomóc. Skorzystałem z okazji i moje walizki z getta przemieściłem do Stefana. Po pewnym czasie Magister na moją prośbę zabrał je do Warszawy. Przypuszczałem bowiem, że jeśli wyjadę, łatwiej będzie mi utrzymywać kontakt z Warszawą niż z Otwockiem.

Przez cały ten czas matka siedziała schowana w piwnicy wraz z ciotką Czerną Góralską, jej synem Mulikiem i kilkoma jeszcze Żydami. Przyносиłem im regularnie jedzenie. Ciagle jednak żyłem w strachu, że zandarmeria wreszcie ich wytropi. Nie udawało mi się znaleźć żadnego miejsca, gdzie mógłbym ich ukłokować. Zaproponowałem Czernie, żeby zaryzykowała podróż do Słomimia, do męża, który prawdopodobnie jeszcze żył. Odmówiła. Następnie radziłem jej, żeby otruta synka, a

sama pojechała do Warszawy, gdzie zamieszka i znajdzie pracę jako Polka. Też odmówiła.

Ostatecznie Czerna poszła do znajomej Polki, panny Lusi, do której miała bezgraniczne zaufanie. Ulokowała u niej wiele swoich rzeczy. Przed akcją panna Lusja zapewniała Czerną, że zawsze może na nią liczyć, że jej pomoże, że ją ukryje, że zrobi dla niej więcej niż dla rodzonej siostry. Gdy Czerna zjawiała się w jej mieszkaniu, panna Lusja oświadczyła, że u niej — z powodu bliskiego sąsiedztwa ze Schlichtem — mieszkać nie będzie mogła. Nadal jednak obiecywała swoją pomoc. Ciotka zostawiła jej pieniądze na zakup żywności i wróciła z synkiem do getta.

Kilka dni potem ich kryjówkę odkryli nowi dozorczy, Polacy. Przewadzili dokładną rewizję, zabrali wszystko, nawet obrączki ściągnęli z palców. Dziękować Bogu, że nie zawiadomili żandarmerii. Wiedzieli jednak, że sytuacja stała się beznadziejna, ich los był przesądzony. Nie chcieli być obecni przy ich śmierci, zwłaszcza Czerner, do której byłem bardzo przywiązany. Nie miałem energii Frajbergiera, żeby przygotować im słodką śmierć, podając truciznę w kawie. Zresztą z zasady nie lubię nikogo oszukiwać, zwłaszcza bliskich mi ludzi. Najwyczajniej więc spytałem, co wola. Mieli do wyboru spokojną śmierć od luminału i ludzki pochówek w ziemi albo wyjazd do Kołbieli i w perspektywie nieuchronną wywózkę do Treblinki.

O luminału nie chciały nawet słuchać. Matka wybrała Kołbiel, Czerna też, prosiła jednak o truciznę, której miała zamiar użyć w ostateczności. Na Janka spadło zadanie znalezienia w polskiej dzielnicy uczciwych przewodników. W końcu znalazł dwóch chłopaków, którzy byli gotowi za dwa tysiące podjąć się tego.

Dzień przedtem Kestenberg, właściciel mieszkania, w którym byli przedtem rodzice, również zdecydował się opuścić piwnicę i udać się do Kołbieli. Dałem mu chleb na drogę, pożegnał się i poszedł. Oczywiście, żadnych zleceń mi nie zostawił, wszak nie na darmo był pobożnym Żydem z rudą brodą. Głęboko wierzył, że wróci jeszcze do swego domostwa i że sam... ale to się wyjaśni później.

Nazajutrz matka i Czerna z Mulikiem poszły. Daliśmy im pieniądze, plecaki z rzeczami i odeszły bez pożegnania w ciemną noc. Pamiętam doskonale ten wieczór. Poszedłem na komisariat prosić Kronenberga o zwolnienie z nocnej służby. Powiedzialem mu, że muszę wyekspe-

diować matkę do Kołbieli. Usłyszała to Kronenbergowa i zaczęła się głośno śmiać.

— Co? Posyła pan matkę do Kołbieli — spytała — i ona może myśli, że będzie jeszcze żyć?

Śmiała się coraz głośniej. Ja zaś milczałem, cóż mogłem bowiem odpowiedzieć. Właściwie należałoby babę trzasnąć w pysk i odejść. Jej słowa i śmiech usłyszał chyba diabeł i musiał się także śmiać.

Droga przeszła matce względnie spokojnie. Po drodze zahaczył ich tylko *Volksdeutsch*, zabrał około tysiąca złotych i poszedł dalej. Był to drobniaczek, jeśli wziąć pod uwagę, że pomiędzy Otwockiem a Kołbielą dzień i noc czatowali na Żydów chłopcy, aby ich ograbić z pieniędzy i rzeczy. Kestenbergowi zdjęli nawet buty. Innym Żydom nie poszczęściło się lepiej.

Gdy otrzymaliśmy z Jankiem wiadomość o szczęśliwym przybyciu naszych do Kołbieli, wyłonił się od razu nowy problem: jak im przestać pieniądze? Janek, przez syna miejscowego szewca Hieronima, wystawił dwieście złotych. Hieronim przyniósł pokwitowanie. Janek postawił więc następne dwieście złotych, na co też otrzymał pokwitowanie, ale tylko na sto pięćdziesiąt złotych. Później okazało się, że pierwsza kartka była podrobiona i że na sumę czterystu złotych do rąk adresatów dotarło raptem złotych sto pięćdziesiąt. Prawdopodobnie Hieronim i tej sumy by nie wręczył, gdyby nie chciał wciągnąć nas w grubszą grę. Nie muszę wspominać, że za każdą przysługę opłacany był osobno.

Tymczasem zbliżał się ostateczny termin wyjazdu do obozu. Mieliśmy jechać do Piekietka, miejscowości niedaleko Legionowa. Część policjantów już wyjechała i zajęła w obozie kierownicze stanowiska. Reszta na razie siedziała w Otwocku.

Widząc, jak się sprawy mają, postanowiliśmy z Jankiem wysłać do Kołbieli tysiąc złotych i walizkę z cenniejszymi rzeczami. Zaczęliśmy szukać uczciwego znajomego, któremu można by to powierzyć. Za usługę gotowi byliśmy dać dwieście złotych i ładny prezent. Podjął się wreszcie tego niejaki P., znajomy szwagra. Janek gwarantował jego uczciwość, ja wierzyłem, bo musiałem. Daliśmy mu tysiąc złotych, od Michalskiego odebraliśmy walizkę z rzeczami, które ojciec ulokował jeszcze przed akcją. Zostawiliśmy jednak u niego kołnierz fokowy matki oraz wydrę ojca, na wszelki wypadek, gdyby rodzice się tam zjawili.

Walizkę wręczyliśmy P. wraz z listem zawierającym spis wszystkich rzeczy, które posyłał.

P. pojechał do Kolbieli. Przywiózł najautentyczniejszy list, w którym matka z ciotką potwierdzają, że rzeczy i tysiąc całusów otrzymały. Byłem pełen podziwu dla P. — taki porządny człowiek. Janek dał mu dwieście złotych, nową apaszkę i sprzedał dwie pary butów po trzyśiedemdziesiąt pięć złotych. Wtedy były warte co najmniej trzy razy tyle, dziś ich wartość wzrosła dziesięciokrotnie.

Obydwaj z Jankiem byliśmy zadowoleni, że trafiliśmy wreszcie na uczciwego człowieka. Janka dręczyła jednak myśl, czy P. wręczył matce nową torbę skórzaną i rękawiczki, których zapomniał w liście wymienić. Pocięliśmy go twierdząc, że na pewno tak. P. mógł przecież wszystko zabrać, po cóż łakomiłby się na głupią torbę?

P. jednak torby z rękawiczkami nie doręczył, co więcej — rzeczy przepakował, a walizki, oczywiście, nie zostawił matce w Kolbieli. Inna sprawa, że Janek zapomniał dopisać, że rzeczy są w walizce; wszak to się rozumiało samo przez się. Ja osobiście odczuwam dla P. głęboką wdzięczność, że doręczył matce pieniądze i rzeczy. Nie jestem prawnikiem, nie wiem, pod jaki paragraf podpada postępek z torbą i walizką. Jeśli prawnik, nie znający życia, kierujący się tylko literami kodeksu, mimo wszystko uzna P. za złodzieja — to już nie moja wina.

Bardziej oczywista sprawa była z woźnym szkolnym Franciszkiem. Wszyscy się ze mnie śmiali po tym, jak do niego uciekłem. Jak się okazało, w dzień akcji nie wpuścił do siebie żony i córki policjanta Noja, choć było to wcześniej umówione. Oczywiście zabrał też wszystkie rzeczy, które były do niego wstawione. Oczywiście zabrał też wszystkie rzeczy, które były do niego wstawione. (Żona Noja uratowała się tylko dzięki temu, że przechował ją w swoim mieszkaniu nieznanymi książkami.) To samo zresztą zrobił z rzeczami właściciela sklepu z manufakturą, Pironicza. Mam wrażenie, że po wojnie stary Franciszek nie zechce być już woźnym w gimnazjum. Bogatszy jest teraz od niejednego nauczyciela.

Pewnego dnia on sam zaczął mnie z pretensją, że znieślawiam jego dobre imię w Otwocku, opowiadając wszystkim, jakoby zabrał moje rzeczy. Oświadczył, że wszystko to jest przecież do mojej dyspozycji, oczywiście po wojnie. Nic mu nie odpowiedziałem, machnąłem ręką i poszedłem.

Janek proponował, aby wspólnie z agentem polskim przeprowadzić

rewizję w mieszkaniu Franciszka, odebrać mu zabrowane rzeczy i podzielić się nimi z rewidującym. Odmówiłem kategorycznie ze względu na Magistra. Jeśli sprawa zrobiłaby się głośniejsza, mogłoby wyjść na jaw, że Magister odwiedził mnie w gimnazjum, mógłby mieć wówczas nie lada przykrości.

Z samym Magistrem widywałem się dosyć często, poznałem go nawet z Jankiem. Raz poszedłem do niego do biura; po korytarzach kręcili się beztrosko urzędnicy, z okna dobrze było widać należące do mnie kino „Oaza”. Urzędnicy Polacy dopytywali się z ogromną ciekawością, jak odbyła się akcja. Pewnie rozmawiając z Żydem czuli się jak Neron w rzymskim cyrku: *morituri te salutant*.

W moim pokoju znajdowała się wspaniała biblioteka z mnóstwem książek w luksusowych oprawach. Właściciel zginał w Treblinkach. Chciałbym je podarować Magistrowi, ale przecież ani *de iure*, ani moralnie one nie są moje; na tych książkach czuć krew ludzką. Jakże je podarować człowiekowi o czystych rękach? Pytam jednak Magistra, czy by ich nie przyjął. Odmawia — nie chce mieć takich pamiątek z getta.

Nie każdy jest tak wrażliwy. Inny Polak, urzędnik *Arbeitsamtu*, przychodzi do mnie z zapytaniem, czy pozwolę mu wziąć te książki.

— Wszak ich przecież jeść nie można — śmieje się, jak z udanego dowcipu.

Oczywiście nie odmawiam, ale spodziewam się, że zapakuje książki i wyniesie się czym prędzej. Ale nie, on ma czas, każdą książkę ogląda, stara się ze mną dyskutować o autorze i o treści. Boję się go obrazić, ale chętnie wyrzuciłbym go za drzwi. Czyż ja mam głowę, by wysłuchiwać jego filozoficznych mądrości? Przez długie cztery godziny znoszę jak najgorsze tortury jego obecność, wreszcie idzie precz.

Chciałbym się jeszcze kiedyś z nim zobaczyć i policzyć. W jego pojęciu nie wyrządził mi najmniejszej krzywdy, wprost przeciwnie — uznał mnie za inteligentnego człowieka i chciał ze mną podyskutować o tak ważnym temacie jak literatura. Cóż z tego, że na ulicy padają strzały? Wszak to zabija się tylko Żydów. W życiu kulturalnego człowieka kultura, poezja są najważniejsze.

A tymczasem nasze getto oficjalnie już nie istnieje. Ostatni „mieszkańcy” muszą sami sprzątać wszelkie ślady pobytu tutaj Żydów. Każą nam rozebrać szlabany. Przypominamy sobie nasze rozmowy w czasach,

kiedy getto powstawało. Mówiło się, jak to będzie wyglądało po wojnie: szlabany zostaną zdjęte, Żydzi będą tańczyć na ulicach i świętować odzyskaną wolność. Takiego jak dziś końca getta nikt się jednak nie spodziewał. Czasy proroków minęły bezpowrotnie.

Po terenach byłego getta kręca się spokojnie Polacy. Już nie ma nic do zrabowania, przychodzą więc kupować. Gotowi są kupić wszystko, byle za becen. Gdy widzą żydowskiego policjanta ubranego w przyzwoity garnitur, to chcieliby siłą zerwać mu go z grzbietu.

— Po co on panu — pytają — przecież w obozie dostanie pan papierowe ubranie, a za ten my panu zapłacimy.

Ja osobiście nie dokonałem żadnej transakcji. Nie byłem po prostu w stanie sprzedawać rzeczy, których właściciele zginęli w tak tragiczny sposób. Specjalistą od tych spraw był natomiast Janek, miał cierpliwość i nigdy się nie denerwował. Pamiętam jak sprzedawał zimowe palto mojej żony. Przez cały czas transakcji myślałem, że się wścieknę. Gdy handlarzka dotykała palta, musiałem hamować się, by jej nie uderzyć. Czulem, jak znieważa się pamięć mojej żony, jak popełnia się świętokradztwo. Palto poszło za pięćset złotych, ja zaś nie byłem tego dnia w stanie czegośkolwiek zjeść.

Janek zwrócił się też do panny Lusi, by oddała czterysta złotych i rzeczy ciotki Czerniej. Dowiedział się, że pieniądze były w posiadaniu przyjaciółki panny Lusi. Zakupiona za nie została słonina na sprzedaż. Towar ten spadł obecnie w cenę, trzeba więc poczekać. Poza tym Lusja wszystko sama zawiezie do ciotki, wkrótce też zabierze ją z Kołbieli do siebie. Janek wy dostał od niej za ledwie znikomą część rzeczy i sto złotych. Resztę Lusja miała zwrócić osobiście ciotce. Zaczęła nawet pisać list do Kołbieli: ...ja wkrótce przyjadę po panią, tylko na razie niech mi pani nie przysyła ani Janka, ani Calka. Na pewno przyjechałaby, tyle że wcześniej wywieziono Żydów z Kołbieli do Treblinki.¹⁵³ Widocznie było przeznaczone pannie Lusi otrzymać gratisową wyprawę od mojej ciotki. Po sześciu tygodniach, gdy jej zakomunikowałem o śmierci ciotki, biedaczka aż się rozplakała. Polały się krokodylowe łzy. Ot, zwykła moralna..., ale z manią udawania porządnego człowieka.

W ostatnich dniach przed wyjazdem mieliśmy małą sensację. Oto pod pokojem, w którym mieszkali moi rodzice, odkryto zakopane towary wartości kilku milionów złotych. Rzeczy te zakopał właściciel mieszkania Kestenberga i przez cały okres wojny udawał biedaka. Nie tylko

udawał, ale i faktycznie żył gorzej niż biedak. Ani on, ani jego chora żona nie jedli nic lepszego niż chleb i kartofle. Uciekł do Kołbieli, gdzie nadal przymierał głodem, a tymczasem Niemcy dźwigali i dźwigali stopy jego towarów. Wieść o tym dotarła do obozu, ale nikt nie żałował wynędzniałego Kestenberga. Ludzie tylko pytali, kogo chciał oszukać. Boga czy też diabła, obcych czy siebie samego? Szczęście Kestenberga, że szybka akcja uratowała go od śmierci głodowej. Zresztą, kto za życia nie był człowiekiem, temu po śmierci człowiek nie pomoże. Smutną mu też sławę pozostawiam — na taką w zupełności zasłużył.

Tymczasem dwudziestu policjantów zostało odkomenderowanych do szpitala „Zofiówka”. Pracy ciężkiej nie mieli, ale mimo to nie chciałem tam iść. Wolałem bowiem nie mieć bezpośredniej styczności z Niemcami. Zdecydowałem się przenieść z resztą policjantów do Piekietka.

Mój szwagier Janek zdążył przed samym wyjazdem zapłombować sobie zęby. Nasza dawna lokatorka, doktor Lidia Wolańska, przyjęła go bardzo dobrze i nie żądała za leczenie pieniędzy. Ja do dentystki nie poszedłem, bo wydawało mi się nienormalne plombować zęby, gdy nosi się na sobie stygmat śmierci.

Przed wyjazdem odwiedziłem jeszcze komornika Alchimowicza, u którego miałem na przechowaniu rzeczy. Powiedziałem mu, że jeśli przez trzy miesiące się nie zgłoszę, to niech wszystko zanieś do Magistra. W ten sposób uczyniłem go, o czym nikt nie wiedział, wykonawcą mojego testamentu. Dałem dowód bezwzględnej wiary w jego uczciwość i — jak się potem okazało — także dowód mej głupoty.

W tym samym dniu wręczyłem Magistrowi trzy i pół tysiąca złotych na przechowanie. Napiisałem też list do matki i ojca.

Nazajutrz, w żydowski Sądny Dzień¹⁵⁴, przyjechał po nas samochód ciężarowy. Komendanta policji Kronenberga, jego zastępcę Ehrlicha, braci Gurewiczów, z których jeden był prezesem *Judenratu*, drugi komendantem straży ogniowej oraz ich żony zabrano do obozu w Wilanowie¹⁵⁵. Kronenberg został mianowany komendantem obozów w Wilanowie, Karczewie, Piekietku i na Saskiej Kępie. Dla nich wszystkich był to wyjazd na letnisko. Większość policjantów zaś ruszała w drogę, z której nie ma powrotu.

Chciałbym jeszcze scharakteryzować nastawienie Polaków do Żydów i w ogóle do akcji wytopienia Żydów. Niższe sfery ludności miejskiej, a także chłopcy z miejsca zorientowali się, skąd wiatr wieje. Zrozumieli, że nadarza im się okazja wzbogacenia, jedyna na przestrzeni wieków. Można było bezkarnie rabować, kraść, zabijać ludzi, toteż wielu z hasłem „teraz albo nigdy” zabrało się do tej roboty. Wznosili tylko ręce ku niebu, dziękując za łaskę, że dożyli takich czasów... Uważali, że są niewinni, wszak odpowiedzialni są tylko Niemcy.

W każdym mieście, gdzie odbywała się akcja, getto otoczone było przez motłoch, który uczestniczył w formalnym polowaniu na Żydów, polowaniu według wszelkich prawideł sztuki myśliwskiej — z naganiami. Wielu Żydów zginęło z ich rąk? Niezliczona ilość! W najlepszym wypadku naganiacze zabierali Żydom pieniądze, rezygnując z doprowadzenia na posterunek żandarmerii. Było to i tak równoznaczne z wyrokiem śmierci. Cóż miał bowiem zrobić Żyd bez pieniędzy? Mógł sam pójść do żandarma i prosić o kulę. Sam widziałem, a także słyszałem z ust Polaków o takich wypadkach.

Nasz dozorca, Jan Dąbrowski, moc Żydów złapał i wydał w ręce żandarmerii, po uprzednim obrabowaniu. Tak solidarnie postępował tłum, bezimienny tłum. Konduktorzy z kolejki, gdy zauważyli Żyda, komunikowali sobie: „złapałem ptaka”. Ptaka oczywiście trzeba „oskubać”. O tym wiem od innych, sam natomiast byłem świadkiem, jak konduktor sprawdzał dokumenty kobiet o „wątpliwym” wyglądzie. W dziewięćdziesięciu przypadkach taki konduktor narażał się na wstyd.

— Co? Wziął mnie pan za Żydówkę? — słyszał wtedy. — Ciekawe, czy pan szuka Żydów z urzędu, czy też dla swoich prywatnych celów?

W setnym jednak wypadku odkryta Żydówka musiała konduktorowi z procentem zapłacić za wszystkie przebyte kompromitacje. W Warszawie powstał nawet całkiem nowy zawód: tropiciel Żydów. Nie należy jednak rzucać kamieniami w tych ludzi za to, że pracują w służbie niemieckiej. Ostatecznie to tylko motłoch, a że w Polsce połowa ludności należy do niższych sfer, to już inna sprawa.

Dziwna rzecz, kiedy nam, Żydom, nie śniło się nawet, że rozkaz wymordowania Żydów dotyczy wszystkich Żydów, to Polacy od razu się zorientowali, że żaden Żyd wojny nie przeżyje.

W ogóle działały się rzeczy, których największy geniusz nie będzie w

stanie opisać. Miały miejsce tragedie, jakie się ludziom nigdy nie śniły, a mimo to nie okazały się nawet interesującym tematem do rozmów. Magister, który codziennie jeździł kolejką elektryczną do Warszawy, opowiadał mi, że nawet w najgorętszym czasie akcji nie usłyszał, żeby w pociągu mówiono o Żydach, by ktoś się nad nimi ulitował.

Jednym słowem — nieciekawym temat do rozmów ogólnych, ale na pewno ciekawym temat do rozmów rodzinnych. Wszak bywało, że Polak miał przyjaciela Żyda, który przechowywał u niego rzeczy. Jeśli potem grzecznie wyjechał do Treblinki, to sprawa była załatwiona. Majątek się powiększył, sumienie było czyste — *tout va très bien*¹⁵⁶.

Gorzej było, jeśli Żyd okazywał się „natrętny”, chciał żyć i upominał się o swoje rzeczy. Wtedy jest o czym pogadać z ludźmi. Czy warto oddać? Wszak Żyd i tak wojny nie przeżyje, więc nie będzie się mógł po wojnie odwdziżyć. Nie będzie też mógł skarżyć przed sądem, nie rzuci cienia na nieskazitelne imię. Oddać mu więc to po prostu grzech. My mu oddamy, to przyjdą inni i zabiorą. Większość znalazła łatwą odpowiedź:

— Żandarmeria zabrała, niech pan do nas więcej nie przychodzi.

Byli jeszcze i tacy, którzy żądali zwrotu tysiąca złotych, które z winy żydowskich rzeczy musieli dać Niemcom, żeby się wykupić.

Zwykle po paru miesiącach wszystko już było w porządku, Żyd ginął.

Nie chcę powiedzieć, że nie znaleźli się Polacy, którzy chętnie pomagali Żydom, niektórzy nawet zupełnie bezinteresownie. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że ja jeszcze żyję; gdyby mi wszystkie rzeczy zabrano, nie byłoby mnie już na tym świecie. Wprawdzie z tymi rzeczami, które mi zabrano, mógłbym jeszcze żyć ze sto lat, ale to jest ostatecznie mała różnica. Chodzi tylko o dwa głupie zera.

Ciekawe są zmiany w mentalności wielu Polaków, w ich nowym stosunku do Żydów. Znam Polaka, naszego byłego lokatora, który uważa się za stuprocentowego patriotę i porządnego człowieka. I rzeczywiście jest porządnym człowiekiem. Można mu bezwzględnie zaufać. Jest pewnie jedynym lokatorem na terenie całej Polski placącym w 1943 roku komorne swemu żydowskiemu gospodarzowi. Tenże człowiek w rozmowie z moim ojcem potrafił odezwać się w następujący sposób:

— Tyle lat handlowałem z tym Żydem, i pomyśl pan, nic do mnie

nie wniósł na przechowanie. Zabrali go do Treblinki — i co miał z tego?! Żeby choć zostawił mi swoje towary...

Zostawmy jednak kwestie materialne, to są brudne sprawy. Rozumowano zwyczajnie: skąd Żydzi wzięli ten majątek? Czyż nie z polskiej ziemi? Nadszedł czas, by zwrócili dług Polakom. Wszystko więc jest w porządku. Zresztą *pecunia non olet*.

Opiszę więc teraz dwa inne wypadki.

Pani A. należała przed wojną do elity towarzyskiej. Na początku wojny, gdy zamieszkała w moim domu, potrafiła godzinami dyskutować z moją żoną. Zwracała się do niej zawsze: droga pani Anko. Uważaliśmy ją za wybitną patriotkę, demokratkę, człowieka o szlachetnym sercu. Dlatego też byłem mocno zdziwiony, gdy po akcji pani A. nawet do mnie nie podeszła i nie zapytała, co się stało z jej „drogą panią Anką”. Wyjaśniło się to dopiero jesienią. Doktor Lidia Wolańska powiedziała mi, że w rozmowie z nią pani A. oświadczyła:

— Jedyną i wiekopomną zasługą Niemców wobec Polski jest fakt, że ją oczyścili z Żydów.

Co więcej, pani Lidia wcale nie powiedziała tego oburzoną tonem. Powtórzyła, co usłyszała, i dodała jeszcze, co sama myśli.

— Panie Calku — tłumaczyła mi — tylu Polaków wywozi się do Oświęcimia, tyle tysięcy ludzi wywozi się na roboty, a Żydom dotychczas nic się nie działo, nie ponosili żadnych ofiar. Czy to jest sprawiedliwe?¹⁵⁷ Niemcy, wywołując Żydów z Warszawy, postąpili więc słusznie. Szkoda jednak, że wywieźli Żydów z Otwocka, wszak to sami znajomi...

Tak to pani doktor, matka dwojga małych dzieci, z czystym sumieniem poświęciła trzy i pół miliona mężczyzn, kobiet i dzieci, jako ekwiwalent za straty i ofiary, jakie ponoszą Polacy. Dodać należy, że ona sama nie jest antysemitką; wyraża jedynie opinię środowiska, przyjmując ją za własną. Tylko jej dobre serce litowało się nad otwoczkimi Żydami.

Ciekawa jest reakcja przedwojennych antysemitów. Zaskoczyli mnie swoim postępowaniem bracia Stasiek i Stefan M., o których już wspominałem. Pochodzili ze środowiska katolickiego. Z Żydami kontaktów towarzyskich nie utrzymywali, a nawet zwalczała przy użyciu środków, które nie kolidowały z zasadami ich wiary. Dla nich Żyd był bogaczem, który wyzyskiwał pracę Polaków, był przeciwnikiem godnym walki.

Gdy czasy się zmieniły, gdy wspólny wróg zapanował nad Polską,

choć judził Polaków przeciwko Żydom, przedwojenne nastawienia straciły znaczenie. Ludzkie serca braci M. protestują przeciwko faktowi tępienia Żydów. Bracia w miarę możliwości ratują znajomych i nieznanym. Chylę przed nimi czoła. To, że przed wojną byli antysemitami, każe bowiem specjalnie potraktować ich zachowanie. W tych ciężkich i niewdzięcznych czasach postępują jak prawdziwi wyznawcy Chrystusa i szczerzy patrioci polscy.

Nie należy jednak sądzić, że tak postępowali wszyscy przedwojenni antysemita. Przeważająca większość znalazła dopiero teraz właściwe pole do popisu. Ludzie tacy, jak bracia M., giną w tłumie.

Jakie zaś było stanowisko Polskiej Partii Niepodległościowej?¹⁵⁸ W trzy miesiące po rozpoczęciu akcji w Warszawie, w październiku 1942, ukazał się w „Biuletynie Informacyjnym”¹⁵⁹ artykuł omawiający wysiedlenie Żydów. Podkreślono w nim wandalizm Niemców, ulitowano się nad tragedią żydostwa, by w konkluzji dojść do następującego wniosku: Najlepszej warstwie Żydów, którzy przed wojną nie chcieli pasywnie żyć na cudzym organizmie i wyemigrowali do Palestyny, przeznaczone było życie; reszta narodu zginęła.

Polskie Siły Zbrojne stały więc na przedwojennym stanowisku antysemitycznym i nie miały zamiaru wystąpić w obronie Żydów. Gdyby w podziemnej gazecie ukazał się choć jeden komunikat następującej treści: „Wyrokiem Sądu Specjalnego został skazany na śmierć funkcjonariusz policji granatowej X — za zatrzymanie i przekazywanie Niemcom Żyda. Wyrok wykonano w dniu tym i tym, w miejscowości tej i tej”, sytuacja byłaby inna. Automatycznie rozmaici policjanci polscy oraz prywatni tropiciele zaprzestaliby tego haniebnego, choć lukratywnego, procederu. Niestety, ani podobne komunikaty się nie ukazały¹⁶⁰, ani też siły zbrojne nie przystąpiły do werbunku młodych i zdolnych Żydów, celem zasilenia oddziałów partyzanckich. Dopiero w grudniu Polska Partia Robotnicza weszła w kontakt z gettem warszawskim, dostarczając za opłatą broń.¹⁶¹ Było już jednak za późno, by Żydzi mogli się uratować czy zadać Niemcom poważniejsze straty. Ostatni Mohikanie żydowskiej organizacji jednakowoż dzięki tej pomocy zginąć honorowo z bronią w ręku.

Trudno mi pisać o Polakach. To co się teraz dzieje jest największym rozczarowaniem życiowym, jakiego doznałem. Dwadzieścia sześć lat żyłem pomiędzy Polakami, przyjałem kulturę i literaturę polską, polu-

biłem Polskę, uważałem ją za drugą swą ojczyznę i dopiero w ostatnim roku poznałem prawdziwe oblicze Polaków.

O każdym fakcie szlachetnego postępowania Polaka wobec Żyda napiszę bardzo chętnie, ale nie mogę przemilczeć podłości tych, którzy z chęci zysku czy też kierując się ślepą nienawiścią, poświęcili życie setek tysięcy ludzi.

Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy. Żydzi zginęli przede wszystkim dlatego, że nie uświadomili sobie w porę, do jakiego stopnia może dojść okrucieństwo i wandalizm niemiecki. Doskonale byli jednak świadomi podłości niektórych Polaków, wiedzieli, co zamyka przed nimi bramy polskiej dzielnicy i zmusza do czekania w getcie na bliski i nieunikniony wyrok śmierci.

Bynajmniej nie jestem zaślepiony, nie uważam, aby obowiązkiem każdego Polaka było przechowywanie, z narażeniem życia, każdego Żyda. Sądzę jednak, że obowiązkiem społeczeństwa polskiego było umożliwienie Żydom swobodnego poruszania się po polskiej dzielnicy. Społeczeństwo polskie winno ostro potępić wszystkich tropicieli Żydów.¹⁶²

Prawda, Polacy pomogli mnie, ojcu, matce — pomogli tysiącom innych Żydów. Myśląc o podłych, nie należy wyciągać wniosków dotyczących ogółu. Czy ma znaczenie statystyka dobrych i złych uczynków? Nie, to nie jest ważne! Sam Bóg najwyższy zajął stanowisko w tej sprawie. W Starym Testamencie napisano, że jeśli w mieście znajdzie się dziesięciu sprawiedliwych, to miasto nie będzie zburzone. Prawdopodobnie w Warszawie i każdym innym mieście znajdzie się również dziesięciu sprawiedliwych.

OBÓZ

Otwork opuszczaliśmy dokładnie w pięć tygodni po akcji, w Sądny Dzień. Pamiętam, jak jechaliśmy ulicą Kościelną. Przed naszymi domami stali Polacy, nowi właściciele naszych sklepów, uśmiechnięci, zadowoleni...

Byłem pewien, że nigdy tu nie wrócę, że po raz ostatni widzę mój rodzinny Otwork. Co wtedy czułem? Piekło bezsilnego buntu, ale i własną bierność. Jechałem dobrowolnie, nikt mnie nie zmuszał, nikt mnie nie pilnował. Mogłem zeskoczyć z samochodu i zostać w Otworku. Myślałem o przyszłości, o tym, co mi przyniesie. Pracę i życie czy pracę i śmierć? Czułem, że raczej to drugie, ale większość była innej myśli. Wszak sam Lipszer powiedział nam:

— Będziecie przez cały czas wojny pracować, a potem, po wojnie, zostaniecie zwolnieni.

Przejeżdżamy przez Warszawę. Getta, liczącego ongiś 700 tysięcy mieszkańców, już nie ma. Z opowiadań naocznych świadków wydarzeń wiem, jak to się stało.

Najpierw pewną część ludzi wysłano „chwilowo” do Treblinki lub też do obozu karnego w Lublinie. Niektórym umożliwiono pisanie listów do rodzin w Warszawie. Kilka czy kilkadziesiąt takich listów lotem błyskawicy obiegło całe getto i uspokoiło ludność. Tumaczono sobie, że ci, którzy pracują w szopach, nie zostaną wywiezieni — bo co za różnica dla Niemców, gdzie Żydzi pracują? Toteż każdy starał się o pracę i pieczołowicie trzymał przy sobie zaświadczenie z podpisem dygnitarza SS.¹⁶³

Częste przeprowadzki, tworzenie nowych szopów, starania o pracę, codzienne łapanki, blokady domów i całych ulic, tragedie osobiste, tragedie ogółu — wszystko to wprowadzało taki zamęt, że wszyscy żyli i poruszali się jak w upiornym śnie. W miarę trwania akcji, zmniejszała się liczba ludzi, którzy nie posiadali „żelaznych” papierów.

tymi, którzy uszli rzezi, brali udział Polacy. Nie brakło wśród rabujących tzw. inteligencji. Dwie osoby: ojca i córkę, powracające po raz trzeci z łupem z terenu *ghetta*, zastrzelił żandarmeria niemiecka. Fakt rabunku mienia żydowskiego przez Polaków, hańbiący ich udział w nieczłowiecznej akcji niemieckiej wstrząsnąć musi do głębi sumienie każdego uświadomionego Polaka, wzburzyć serca, wywołać rumieniec wstydu".

125. Właściciel: *Nomina stultorum scribuntur ubique locorum*. — Imiona głupców pisze się wszędzie. (łac.)

126. Getto w Falenicy utworzono 15 września 1940, przed likwidacją liczyło około 5 tysięcy mieszkańców.

127. „Nowy Dzień”, nr 351, z 27 sierpnia 1942, informował: „Temu samemu losowi co w Otwoku ulegli żydzi [...] w Falenicy, Świdrze, Józefowie, Międzyzlesiu, Radości, Międzyzlesiu i Rembertowie. Wszędzie odbywały się wszelkie masakry i sadystyczne znechanie się nad mordowanymi. W Falenicy, w zakładzie dla niemowląt, zabijano małości, wgniatając je butami w piasek. W prywatnym zakładzie dla dzieci lekarz Żyd uprzedził oprawców dając wychowankom pironującą truciznę i samemu popełniając samobójstwo”.

128. Właśc. Najwiera.

129. Perechodnik ma bardzo dokładne informacje o akcji falenickiej. Córka właściciela tartaku, Sara Najwer, tak opisuje to wydarzenie: „Tuż przed ładowaniem do wagonów przyjechał pan H. z jakimś Niemcem. Podeszli do tatusia, odstawili na bok i powiedzieli, żeby sobie wybrał spośród kilku tysięcy zebranych tam, su meczyn, ale prędko, bo oni nie mają czasu. Zmarwiłam. Jeśli jest piekło, to tatús przeszedł przez nie tutaj na ziemi, podczas tych dziesięciu minut, kiedy musiał zdecydować o czymś życiu lub śmierci”. (Arch. ŻIH, prot. 4496)

130. Treblinka są tam, gdzie jest miejsce każdego Żyda. (jid.)

131. Getto w Mińsku Mazowieckim utworzono w 1940 roku, zlikwidowano w dniach 21-22 sierpnia 1942. Przed likwidacją liczyło około 5 tysięcy osób, Żydów miejscowych oraz wygnańców z Kalisza, Pabianic i Katuszyna.

132. W żadnej ze zgromadzonych w ŻIH-u relacji mieszkańców Mińska nie ma mowy o „dobrym Niemcu”. Skłonny jestem przypuszczać, że opinia mieszkańców Otwoka stanowiła jedną z legend, którymi hdzili się — pozbawieni wszelkich nadziei — Żydzi z całej Generalnej Guberni.

133. Żydowska policja w Otwoku dysponowała własnym więzieniem. „Gazeta Żydowska”, nr 34, z 20 marca 1942, informowała z satysfakcją: „Staraniem obywateli Dzielnicy Żydowskiej powołany został do życia przy Radzie Żydowskiej Patronat nad Więźniami. Dotychczas wszyscy aresztowani przebywali w jednej na ten cel urządzonej izbie zatrzymań przy policji dzielnicowej. Z chwilą gdy liczba aresztowanych Żydów stale wzrastała, powstała konieczność urządzenia więzienia. Obowiązek ten wziął na siebie wspomniany Patronat. Toteż w stosunkowo krótkim czasie, dzięki ruchliwości i energii członków Patronatu, zostało urządzone więzienie oddzielne dla mężczyzn, oddzielne dla kobiet. Przy więzieniu istnieje również izolatatorium na wypadek choroby wśród więźniów. Patronat czyni też starania w kierunku ułatwienia życia więźniom, dostarczając im książki. Wśród więźniów wyłoniony został komitet, który dba o higienę i porządek w więzieniu”.

134. Doktor Juliusz Pomper — w odróżnieniu od innych lekarzy otwockich, którzy zbiegli z miasta w przeddzień lub w dniu akcji — pozostał na miejscu. Z racji

swej znajomości z komendantem żandarmerii Schlichtem uważał się za bezpiecznego. Schlicht obrabował Pompera, po czym wysłał go do obozu w Karczewie. Zob. Sefer..., s. 832.

135. Właśc. *Rassenschande* — pohabienie rasy. (niem.)

136. W Rembertowie w 1942 roku założono obóz pracy. Pracowało w nim — dla firmy Smitt und Junk — około 400 Żydów.

137. Podobnie — choć mniej szczegółowo — relacjonuje ten epizod Moszek Braff; we wspomnieniach przechowywanych w Archiwum ŻIH.

138. Zdrajca nie śpi. (jid.)

139. W tym miejscu znajduje się obecnie obelisk z napisem: „Miejsce straceń 5000 Żydów, którzy w dniu 19 VIII 1942 r. zginęli z rąk hitlerowskich ludobójców. Cześć ich pamięci!”.

140. Element rytualnego stroju, biała chusta w czarne pasy.

141. Właśc. *Alles Geld, Geld, müssen sie abgeben oder wirst du erschossen*. — Pieniądze, wszystkie pieniądze, musisz oddać albo będziesz zastrzelony. (niem.)

142. Właśc. *erschossen* — rozstrzelać. (niem.)

143. Boże nasz. (niem.)

144. Właśc.: *Wirst du erschossen* — będziesz rozstrzelany. (niem.)

145. Mieszczyzna katolickiej organizacji Front Odrodzenia Polski „Prawda” z października 1942 informował: „Żydzi z Wołomina, Otwoka oraz innych podwarszawskich osiedli, od kilku tygodni ukrywający się po lasach jak dzikie zwierzęta, udreżeni głodem i zimnem, doprowadzeni do ostatecznej rozpaczy, zgłaszają się sami na posterunki policyjne «na rozstrzał». Stwierdzono kilka takich wypadków. W jednym zgłosiła się cała grupa.

— Zabijcie nas. Wolimy śmierć niż takie życie.

Żandarmeria zabrakło amunicji. Jeden z nich siadł więc na rower i pojechał po amunicji. Skazańczy czekali. Wrócił. Zastrzelono ich”.

146. Kronenberg sam doprowadził swego ojca na otwocki *Umschlagplatz*. Zob. Sefer..., s. 828.

147. Prawdopodobnie był to wspomniany wyżej komornik sądu grodzkiego Stefan Alchimowicz, mieszkający przy ulicy Sienkiewicza 4.

148. Perechodnik, choć posłużył się tylko inicjałem nazwiska, podał tyle informacji dodatkowych, że udało się ustalić bez specjalnego trudu, że mowa o mieszkańcu Otwoka Stanisławie Maliszewskim.

149. Getto w Parczewie liczyło około 6 tysięcy osób. Zgromadzono w nim ludność miejscową oraz z Krakowa i Lublina. 19 sierpnia 1942 wywieziono do Trebinki około 4300 Żydów. Następny transport liczący około 2500 osób skierowano do Trebinki w końcu sierpnia. We wrześniu 1942 część mieszkańców przeniesiono do getta w Międzyrzeczu Podlaskim, pozostałych rozstrzelano w początku października.

150. Jak wynika z dalszego ciągu pamiętnika trzecią osobą był Michał Frajbergier.

151. T(e)filin, filakterie, dwa skórzane pudełeczka z przymocowanymi rzemykami, zawierające zwitki pergaminowe z czterema cytami z Biblii (Deut. 6,4-9 i 11,13-21; Ex. 13,1-10,11-16), przytwierdzone do czoła i lewego przedramienia przez Żydów na czas modlitwy w dni powszednie.

152. Sara Najwer, w swej relacji z likwidacji getta falenickiego, zapisała: „Czasami się

zdarzy zgola inna przyjemność: ktoś poprosi, żeby go zabić. Ale musi bardzo prosić i udzielane to jest jako wielki akt łaski. Bo cóż to za przyjemność zabić kogoś, kto tego pragnie". (Arch. ZIH, prot. 4496)

153. Getto w Kolbieni, liczące około 1000 osób, zlikwidowano 27 września 1942.

154. 1 września 1942 (5702 rok w kalendarzu żydowskim).

155. Obóz wilanowski założono w kwietniu 1942 roku, zlikwidowano w początkach grudnia tegoż roku. Przebywało w nim około 400 Żydów.

156. Wszystko w porządku. (franc.)

157. W pierwszym okresie okupacji Żydzi nie byli masowo aresztowani, torturowani w gmachach gestapo i więzieniach dla politycznie podejrzanym, zsyłani do obozów koncentracyjnych i pod bile pretekstem czy też bez pretekstu mordowani — co dotyczyło rozległe grupy inteligencji polskiej. W konsekwencji tej taktyki okupanta zrodził się pogląd — funkcjonujący również w środowisku żydowskim — że Żydom grozi głównie terror i ucisk ekonomiczny, Polakom natomiast — ucisk i terror polityczny. Oczywiście w okresie, który relacjonuje Perechodnik, pogląd taki jest już nie tylko fałszywy, ale wprost aberracyjny.

158. Być może Perechodnik ma na myśli konkretną organizację, mianowicie Armię Krajową. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że — nie orientując się w realiach polskiej konspiracji — ruch niepodległościowy traktował jako organizacyjną jedność.

159. Centralny organ Komendy Głównej Armii Krajowej, tygodnik informacyjno-programowy wydawany w Warszawie, kolportowany na terenie całego kraju.

160. Komunikaty takie ukazywały się dopiero w połowie 1943 roku, od kiedy rozpoczęła się akcja likwidacji szmalcowników. Była to niewątpliwie inicjatywa późniejsza, ale nadal konieczna ze względu na dużą liczbę ukrywających się Żydów. Pierwszym szantażystą zastrzelonym w Warszawie z wyroku Sądu Specjalnego był Bogusław Plińk, zasądzony na karę śmierci w lipcu, a zabity w sierpniu 1943.

161. Trudno ustalić, skąd Perechodnik miał informacje o pomocy uzbrojeniowej PPR-u dla konspiracji warszawskiego getta. Źródłem informacji mogła być prasa konspiracyjna.

162. Bardzo późno, bo dopiero w marcu 1943, ukazał się w prasie konspiracyjnej komunikat Kierownictwa Walki Cywilnej: „Niemniej znalazły się jednostki wyzute z czci i sumienia, rekrutujące się ze świata przestępczego, które stworzyły sobie nowe źródło występnego dochodu przez szantażowanie Polaków ukrywających Żydów i Żydów samych. KWC ostrzega, że tego rodzaju wypadki szantażu są rejestrowane i będą karane z całą surowością prawa, w miarę możliwości już obecnie, a w każdym razie w przyszłości”.

163. Ostatnia faza likwidacji getta rozpoczęła się w niedzielę, 6 września. Tego dnia zaczęto wydawanie „numerów na życie”. Były to żółte kartki meldunkowe z ręcznie napisanym numerem, zaopatrzoną w pieczęć (pracodawcy lub *Sicherheitsdienst*) i podpis. Należało je nosić przypięte na piersi. Przyznano je tylko 35 tysiącom Żydów. Byli to urzędnicy *Judenratu*, policjanci, pracownicy służby zdrowia, zatrudnieni w szopach.

164. Jakub Lejkin, adwokat, szef policji żydowskiej po zamachu na Szeryńskiego (zob. przyp. 199), kierował akcją wysiedleńczą; zastrzelony przez bojowców Żydowskiej Organizacji Bojowej w październiku 1942.

165. Perechodnik ma na myśli zarządzenie pełnomocnika ds. przesiedlenia w sprawie

rejestracji mieszkańców getta w czworoboku ulic: Smoczej, Gęsiej, Zamenhofa, Szczerbiwej, placu Paryskiego. Zarządzenie to ukazało się w postaci obwieszczenia *Judenratu* 5 września 1942.

166. W wyniku selekcji wśród mieszkańców getta, przeprowadzonej w dniach od 5 do 12 września, wysłano do Treblinki około 50 tysięcy osób.

167. Perechodnik w tym miejscu powtarza się.

168. Podobną uwagę zanotował Ringelblum: „Czy wtedy, kiedy latem zeszłego roku sunęły po ulach stolicy wozy naładowane złapanymi mężczyznami, kobietami i dziećmi żydowskimi, musieli się po tamtej stronie murów gettowych rozlegać śmiech rozwidrnionego motłochu lub panować musiata tępa obojętność wobec największej po wsze czasy tragedii? Pada i dalsze pytanie: czy nie należało w jakiś sposób dać wyraz uczuciom wobec rzezi całego narodu? Dlaczego — pytamy się — Holendrzy, Belgowie i Francuzi przywdziali opaski z tarczą Dawida z chwilą, gdy ich wprowadzono dla Żydów, a w Polsce nie zadokumentowano tego, gdy miliony obywateli polskich pochodzenia żydowskiego padło z rąk kata spod znaku haczykowatego krzyża?”. (Zob. *Stosunki polsko-żydowskie...*, s. 30.) Nie negując słuszności powyższych opinii, zwracam uwagę, że Ringelblum nie uwzględnił różnicy np. w warunkach okupacji w Polsce i na zachodzie Europy czy faktu, iż Polska była największym skupiskiem Żydów w Europie. (Dla porównania: w Polsce było około 3 74 00 Żydów, co stanowiło 10 procent ogółu ludności, we Francji — 0,8 procenta, w Belgii — 1,2 procenta.)

169. Informacja Perechodnika nie znajduje potwierdzenia w dostępnym zasobie źródłowym. Żydów francuskich, przy pomocy policji francuskiej, gromadzono w obozach zbiorczych i — począwszy od marca 1942 — wywożono do obozów śmierci na terenie Generalnej Guberni. Ich liczbę szacuje się na około 60 tysięcy.

170. Podobnie relacjonuje Emanuel Ringelblum, *Kronika getta warszawskiego*, Warszawa 1983, s. 416: „Żydzi z Europy Zachodniej nie wiedzą, czym jest Treblinka. Sądzą, że jest to kolonia pracy i zapytują w pociągu, jak daleko jest *der Industrieller Berrieb* [zakład przemysłowy — P.S.] Treblinka”.

171. Miejsce osiedlenia, osiedle. (hebr.)

172. „Agencja Prasowa”, nr 25(53), z 1 kwietnia 1941, informowała: „Znane ogłoszenie o zaciągu ochotniczym do straży obozowej wywołało w kołach żydowskich panikę, a w pozostałych — pytanie, jakiego rodzaju mają być baraki, które zorganizowana straż ma pilnować. Sprawę tę wyjaśnia *Deutsche Ostwache*. Niemcy zamierzają przystąpić do regulacji Wisły i zgodnie ze swym nowym charakterem chcą podjąć prace na olbrzymią skalę. Budowa tamy, podnoszącej poziom Wisły, budowa wałów ochronnych, regulacja dopływów, rozpocznie się jednocześnie. Do tego celu okupanci powołają 25 tysięcy Żydów, umieszczając ich w przygotowanych już wzdłuż Wisły trzydziestu obozów”.

173. Akcja w Kolbieni, o której wspomina tu Perechodnik, odbyła się we wtorek, 27 września 1942.

174. Od 22 września do 5 października 1942 hitlerowcy wywieźli do Treblinki, bądź zamordowali na miejscu, około 40 tysięcy Żydów częstochowskich.

175. Getto w Legionowie, utworzone w 1940 roku, liczyło około 3 tysięcy osób. „Biuletyn Informacyjny”, wyd. „P”, nr 49, z 16 października 1942, informował: „W sobotę 3 października zlikwidowano w Legionowie *ghetto* przy pomocy kilkudziesięciu policjantów granatowych, skądś sprowadzonych, nie znanych na